SIELANKI
GESNERA

z Niemieckiego Oryginału.

Na Wiersz Polski przerobione

przez Tłomacza Xiążki

WIERSZ O CZŁOWIEKU.



W KRAKOWIE 1800.
w Drukarni JANA MAYA.

SIELANKI GESNERA

Na Wiersz Polski przerobione.

SIELANKA I.

DO DAFNY.

Nie nócę Bohaterów krwią i potem zlanych;
Nie nócę pól obszernych trupami usłanych:
Od dziwienia scen takich muza ma daleka,
Z fletem w ręku w spokoyne zacisza ucieka.

To słuchaiąc potoków które mrucząc płyną,
Błąka się nad brzegami zarosłemi trzciną;
To zmamiona posępnym gaików milczeniem,
Depeze kwiaty pod gęstym gałęzi sklepieniem;
To na miękkiey murawie dla spoczynku siada,
I tam wiersze dla ciebie piękna Dafno składa;
Dla ciebie tylko samey Dofno ukochana.
Coż bowiem znaczy każda z tobą porównana.
Dusza twoia czarnemi nie tchnięta narowy,
Piękna iest iak pogodny poranek maiowy;

Smiech lata po twych ustach, a wesołość żywa,
Na rumianych iagodach przyiemnie spoczywa:
Radość którą niewinne twoie serce czuie,
Radość w twych pięknych oczach słodko się maluie,
Tak.....odkąd droga Dafno nazywasz mnie twoim,
Odtąd przyszłość błyszcząca stoi oczom moim,
Odtąd przychylna radość, i lube wesele,
Drogę moiego życia uciechami ściele.

Gdybyć ci się te proste piosnki spodobały,
Piosnki, któremi gaie okoliczne brzmiały,
Bo często moia muza w chłodnym lasów cieniu,
Przysłuchuie się Dryad i Satyrów pieniu;
Często w głębokich grotach z których źrzodła płyną,
Sledzi nadobne Nimfy uwieńczone trzciną;
Często odwiedza także mchem porosłe chaty,
W koło których w spokoyność i przemysł bogaty
Właściciel urodzayne rozsadziwszy drzewa:
Z owoców zdrowy pokarm, z cienia ich chłod miewa;
Tam czy rozrywki zważa, czy pilną robotę,
Postrzega wielkość duszy, niewinność i cnotę;
Tam widzi mieszkaiące spokoyność i zdrowie,
Dobra których tak często nie znaią panowie.

Często też do niey miłość ukradkiem przybywa,
I to w zielonych grotach które bluszcz okrywa,
To nad wodą od zniosłych okrytą topoli,
Słuchaiąc iey śpiewania, niewinnie swawoli!
A wielbiącey czułemi słodką roskosz głosy,
Zwieńcza mirtem z zefiry igraiące włosy.

Niosąc ci piękna Dafno ten podarek mały,
Niechce inney nadgrody, niechce inney chwały,
Jak tylko bym miał szczęście siąść przy boku twoim,
I widzieć wzrok twoy czule utopiony w moim:
A przez twych pięknych oczów słodkie uśmiechnienie
Zyskać nieocenione twoie potwierdzenie.
Niech ten który mniey będąc odemnie szczęśliwy,
Marnie niknących dymów iedynie iest chciwy,
Niech ten próżną nadzieie w głowie swoiey przędzie,
Że chwała iego wierszów na wieki trwać będzie;
Niech co rok iego wnuki, w smutne stroyne szaty,
Na iego zimne kości wonne sypią kwiaty;
Niech świerzym iego zwłoki uraczaiąc chłodem
Grób iego drzew wyniosłych otoczą obwodem,
Niech się nad rznięciem iego, biegły snycerz troszcze,
Gdy zyskam twe spoyrzenie, nic mu nie zazdroszczę.

SIELANKA II.

MILON.

Ty ktorey wielkie dwa czarne oczy,
Milsze są niżli poranek świerzy,
Gdy na mnie rzucisz twoy wźrok uroczy,
Krew w moich żyłach gwałtowniey bierzy.

* * *

Żaden bydź milszy widok niemoże
Nad ten, które mi twe włosy daią,
Gdy przez dobrane ściągnione roże,
Z lekkim Zefirem mile igraią.

* * *

Co to za urok! kiedy otworzysz
Twe piękne usta na uśmiechnienie,
Lecz tysiąc razy ten urok mnorzysz,
Gdy z nich roskoszne wypuszczasz pienie.

* * *

Nie postrzeżony twoiemu oku
Wczoray twoiego słuchałem pienia,
Nóciłaś siedząc przy owym stoku,
Który dąb rosły mile ocienia.

* * *

Słuchaiąc ciebie, łaiałem ptaki
Że émiły głos twoy przez swe kwilenia,
Łaiałem wody, że na głos taki,
Nie zaprzestały swego mruczenia.

* * *

Już dziewiętnaście żniw oglądałem;
Nie ieden moię urodę chwali:
Często gdy w gronie pasterzow grałem,
Wszyscy umilkli i mnie słuchali

* * *

Godzić głos fletni z twym głosem miłem,
(Gdyś w gronie naszym czasem śpiewała)
Z wszystkich naylepiey ia potrafiłem....
Ey! wartem Chloe, byś mnie kochała.

* * *

Jak słodko mieszkać w iaskini moi
Którą przy skale oglądasz owey,
Oto bluszcz wdzięcznie boki iey stroi
Wierzchałek zwieńcza krzaczek cierniowy,

* * *

Sciany iey w koło kwoli wygodzie
Skóry miękiemi są ozdobione;
Dynie wyrosłe na samym wchodzie,
Czynią od słońca miłą zasłonę.

* * *

Patrz iak dwa zdroie z wierzchu tey skały
Spadłszy z łoskotem, spokoynie płyną,
I tworzą stawek w dolinie mały,
Obrosły wierzbą, wiklem i trzciną.

* * *

Tam przy spokoynym świetle Xiężyca,
Na głos mey fletni Nimfy tańcuią,
I Fauny których ma okolica,
Tu się na skoki hurmem zlatuią.

* * *

Widzisz iak na tym wzgórku chrost młody,
Chyląc się grotę zieloną czyni,
Widzisz ieżynę z swemi iagody,
Pnącą się w koło moiey iaskini.

* * *

Widzisz dwa rosłe głogowe krzaki,
Które okryły ziarnka czerwone,
Widzisz te cienkie płonkowe pniaki,
Winnemi grony wkoło ściężone.

* * *

Chloe! to wszystko iak znasz iest moie,
W tak pięknym mieyscu miło się zyie.
Lecz ieżli serce utracę twoie,
Mgła ciemna wszystko wkoło okryie.

* * *

Kochay mnie Chloe! kochay mnie stale!
Nieraz wyszedłszy na te murawe,
Widzieć skaczące kozy po skale,
I krowy będziem iedzące trawę.

* * *

Potym przenosząc wzrok nasycony
Z pól na niezmierną równine morza,
Zobaczem iak się gonią Trytony,
Jak Febus g si swe świetne zorza.

* * *

Nakoniec słodkie zanuciem pienie,
Które powtorzą okolne skały,
Nimfy, Satyry na wyścignienie,
Zbiegać się będą by nas słuchały.

* * *

Tak śpiewał Milon pod buka cieniem,
Chloe, co w bliskim gaiu słuchała,
Przybliżyła się doń z uśmiechnieniem,
I rękę swoie mile mu dała.

* * *

Kocham cię (rzekła) kocham Milonie!
Nie tak chce owca ieść koniczynę,
Nie tak śpiewanie mami ptaszynę,
Jak serce moie ku tobie płonie.

* * *

Prowadź mnie Milon na twe mieszkanie:
Nie tak mym ustom słodkie są miody,
Nie tak mym uszom miły szmer wody,
Jak wdzięczne twoie ucałewanie.

SIELANKA III.

IDAS. MIKON.

IDAS.

Witam cię, o przyiemny śpiewaku Mikonie,
Gdy idziesz, drga z radości serce w moim łonie.
Odtąd iak na obrosłym siedzący kamieniu,
Nóciłeś pieśn wiosiennną przy bliskim strumieniu,
A ia na moiey fletni tobie wtorowałem,
Odtąd cię towarzyszu ieszcze nie widziałem.

MIKON.

Witam cię, o uczony na fletni Idasie,
Poydźmy gdzie siaść do chłodu, w tym gorącym czasie.

IDAS.

Wstąpmy na ten nie wielki pagórek zielony,
Gdzie ręką Palemona stoi dąb wszczepiony;
Widzisz iak się daleko cień iego rozlega,
Wiatr chłodny nieustannie w koło niego biega,
Tym czasem piąć się nawierzch tey spadzistey skały.
Będą sobie me kozy drzewka ogryzały.

Patrz iak ten dąb roskosznie swe gałęzie szerzy,
I na koło swym cieniem chłód roznosi świerzy.
Siądźmy tu na murawie przy tych różach polnych,
Wstrząśnionych lekkim wianiem zefirów swawolnych.
Zawsze to piękne mieysce, będzie dla mnie święte.
To drzewo nigdy ludzką siekierą nie tknięte,
I szczególniey w tey całey szanowane stronie,
Wieczną stoi pamiątką twych cnot Palemonie!
Palemon pan nie wielkiey w tych mieyscach zagrody,
Zarznął raz na ofiarę pięć owiec z swey trzody,
A gdy iuż na ołtarzu płomień wstał ochoczy,
On nabożnie zawołał, wzniosłszy w niebo oczy:
O BOŻE! pobłogosław dobytkowi memu,
Abym z niego część iednę mógł dać ubogiemu.
Stało się w iednym roku trzoda Palemona,
Połową iest przez łaskę nieba pomnożona.
Palemon nie pragnący mieć więcey niż wprzody,
Dał zaraz ubogiemu połowę swey trzody;
Potym pierwszą ofiarę, w tym mieyscu ponowił,
Osadził ten dąb rosły i tak głośno mówił:
Niech będzie ten na wieki dzień błogosławiony,
W którym z twey łaski BOŻE, ślub moy iest spełniony!

Błogosław temu drzewu, bym pod iego cieniem,
Co rok ci się wypłacał, iagnięcia zarznieniem.
Chcesz Mikonie abym ci te piósnkę powtorzył,
Którąmem do śpiewania pod tym dębem złożył?

MIKON.

Powtòrz Idasie, powtorz, a w odpłat twey chęci
Daruię ci te fletnię o dziurach dziewięci.
Sam na nię rznąłem trzciny nad brzegiem ieziora,
Sam ie pachnącym woskiem połączyłem wczora.

IDAS. (*śpiewa.*)

Giętkie gałęzie które szerzycie
Nad moią głową gęste sklepienie,
Cień wasz którym mnie miłe rzerzwicie,
Swięte w mą dusze tchnie uniesienie.

* * *

Słodkie zefiry gdy swoiem wianiem,
Przyiemnie moie chłodzicie ciało,
Mniemam iak gdyby z lubom szmeraniem
W koło mnie iakieś Bostwo latało.

* * *

O wy chodzące na koło trzody!
Gdy was tu piękna pasza pozwodzi,
Ah! oszczędzaycie ten bluszczyk młody,
Który pod tego dęba pniem wschodzi.

* * *

Niechay nie tchnięty usty waszemi
 Pnie się po iego korze wesoło,
I gierlandami niech zielonemi,
 Gruby pień iego otoczy w koło.

* * *

O piękny dębie! niechay pioruny,
 I wiatry burzą niosoce wrzącą,
Szanuiąc zawsze twoy wierzch wzniesiony,
 Żadney gałęzi z ciebie nie strącą.

* * *

Tak lube drzewo! tak Bostwo chciało,
 Byś mimo burzy i szkód starości,
Zawsze wesołe i czerstwe stało,
 Wieczną pamiątką dobroczynności.

* * *

Twa pyszna głowa obłoki pruie,
 Gdy ią z daleka pasterz zobaczy,
Synowi swemu na nię skazuie,
 I przeznaczenię twoie tłomaczy.

* * *

Widzi ią matka i opowiada,
Córce na swoim siedzącey łonie,
Coś na nędznego wsparcie sąsiada,
Pełen litości dał Palemonie.

* * *

Bądźcie pasterze, bądźcie skłonnemi,
Do drzew podobnych w koło sadzenia,
By wasze wnuki mogły pod niemi,
Podobne moim czuć uniesienia.

Tak nócąc biegły Idas na fletni przegrawał:
Przestał, a Mikon ieszcze słuchać nie przestawał.
Ah! Idasie (rzekł w reście) powrot piękney wiosny,
Bardzo iest moiey duszy miły i radosny:
Porywa mnie i mami poraneczek złoty;
Lecz milsze są mi ieszcze, dobrych ludzi cnoty:
Te w mym sercu naytkliwsze ożywiaią chęci.
Rzekł to, i dał mu fletnią o dziurach dziewięci,

SIELANKA IV.

DAFNIS.

W pięknym poranku stycznia, gdy mróz ściskał srogi,
Siedział nadobny Dafnis w swey chatce ubogii:
Płomień suchego szczepu wzniesiony wesoło,
Rozszerzał miłe ciepło po izdebce w koło.
Wierzch domu żytną słomą po prostu poszyty,
Ogrubną warsztwą śniegu cały stał okryty;
Pasterz okienkiem rzucał oko rozrzewnione,
Na łąki, laski, role od zimy zniszczone.

O zimo! któraś teraz świat nasz spustoszyła,
Mimo twoiey ostrości, iakże iesteś miła?
Jak wdzięcznie przez szrożogi na koło powstałe,
Rzuca swe światło słońce na wzgórki zsiwiałe.
Jak ten śnieg iest błyszczącym? Jak piękne widoki,
Stawiaią moim oczom, te rozległe włoki.
Tu szerząc gołe drzewa, swe gałęzie krzywe,
Czynią nad doinym śniegiem przeyrzystą nakrywę,
Tam na wzgorku odległym stoi chatka siwa,
Którey strzechę słomianą gruby śnieg okrywa.

Daley niskie po ziemi krzewią się czerniny,
Które czarnością swoią rwią białość równiny.

Zboże którym pobliskie zasiane są role,
Zboże w niektórych mieyscach z pod sniegu się kole.
Jak ta młoda zieloność na śnierzystey bieli,
Przyiemnie patrzącego źrzenice weseli.
Co za iskrzący widok bliskie krzaki daią,
Zmarzłą rosą ich cienkie gałązki błyskaią.
Łąki są prawda puste, a bydło spędzone,
W ciepłych stayniach spoczywa, na słomie złożone.
Ledwie gdzie postrzedz można wołu który niesie
Drwa nacięte w pobliskim, od pasterza, lesie.
Ptaszki które przyiemnie po lasach śpiewały,
Ptaszki zimnem spłoszone, precz od nas zleciały.
Widzieć tylko gdzie niegdzie osobną sikorę,
Która śpiewa, na przykrą nie uważna porę.
Tu i owdzie po krzakach skacze królik mały,
Zbiera żyr w progach naszych, wróbel poufały.

Niżey pomiędzy temi rosłemi drzewami,
Z śrzod których dym czarnemi snuie się wałami,
Mieszka Fillida moia. Fillido iedyna!
I ty może w tey chwili siedziesz u komina:

A na twey białey ręce, wsparłszy piękną głowę,
Myślisz o mnie i chęcią dni ścigasz maiowe.
Fillido! iesteś piękna; lecz nie sama siła,
Twey urody, w mym sercu miłość rozniecila.
Pokochałem cię w ten czas gdy z zwierzchołka skały,
Nadobnego Alexa dwie kozy zleciały.
On płakał narzekaiąc: O ma dola biedna!
Utraciłem dwie kozy, z których pełna iedna.
Jak przyimie tę nowinę moy oyciec ubogi!
Nie śmiem, ah! nie śmiem wrócić w naszey chatki progi.
Widząc go płaczącego łzamiś się zalała,
Potymeś z swoiey trzody dwie kozy wybrała.
I rzekłaś płaczącemu: O chłopczyno biedna!
Weź sobie te dwie kozy, pełna iest z nich iedna.
On płakał od radości, tyś także płakała
Z roskoszy, żeś biednego od smutku wyrwała.

Fletnio moia roskoszna, mimo zimy trwanie,
Nie będziesz przypruszoną wisiała na ścianie.
Będę grał mey Filidzie, piosneczki wesołe,
A choć drzewa i łąki stoią teraz gołe,
Przecież ia mey Filidzie wianeczek uplotę,
Mam ieszcze bluszcz zielony, mam nagiętki złote.

Ta, onegday odemnie złapana sikora,
Będzie iey od poranku śpiewać do wieczora.
Dziś ią do niey zaniosę wraz z wiankiem zielonym,
Baw ią ptaszyno luba, baw głosem pieszczonym.
Gadać będzie do ciebie, a gdy zlecisz do niey,
Posypie ci iedzenie na swey piękney dłoni.
Chować cię pilnie będzie, pomniąc żeś odemnie,
I nieraz się do ciebie uśmiechnie przyiemnie.

SIELANKA V.

MIRTYL.

Dnia iednego na wiosnę pogodnym wieczorem,
Chodził przyiemny Mirtyl nad bliskim ieziorem,
Którego lekkim wiatrem, wstrząśnione krzyształy,
Pełne Xiężyca światło, mile odbiiały,
Cichość nocy i czułe słowika kwilenie,
W roskoszne iego duszę wprawiły zmamienie;
Lecz powraca na koniec do swey chatki małey,
Którą wesołe drzewa w koło otaczały.
Oyciec iego ciężarem wieku obłożony,
W ich migaiącym cieniu spoczywył ześpiony.
Starzec leżał na trawie, a głowa zsiwiała,
Na podłożeoney ręce lekko się wspierała.
Widząc to Mirtyl stanął, a iednę na drugi
Rękę złożywszy, milcząc stał czas dosyć długi,
Wzrok w oycu utopiony, czasem w niebo wznosił,
I radosnemi łzami, piękne lica rosił.

O ty! (rzekł ku któremu słodki zapał czuię,
I którego naywięcey po Bogach szanuię:)

Oycze moy! iakże słodko sen twe krzepi siły,
Jakże sprawiedliwego spoczynek iest miły!
Pewnie wyniosłeś z chaty twe chwieiące kroki,
By lubego wieczora rozrzewnion widoki,
Czule tego wielbiłeś, który wszystko stworzył:
Pewnie cię na modlitwie sen przyiemny zmorzył.
Oycze! zapewneś i mnie w twoie włożył prożby,
Co to dla mnie za szczęście! co za słodkie wrożby!
BOG przyymuie twe modły.— Jego względom na nię,
Winniśmy chatki naszey od szkod zachowanie.
Te drzewa pod ciężarem swego plonu zgięte:
Te role buynym żniwem, w koło porośnięte:
Te co rok licznym płodem pomnorzone trzody,
Nie sąż skutku prożb twoich iawnemi dowody?
Gdy koło twey starości me słabe starania,
Czasem cię do słodkiego wzbudzaią płakania,
Gdy twe czułe ku niebu podniosłszy spoyrzenia,
Błogosławisz mi oycze pełen rozrzewnienia.
Ah! iakie czucie w ten czas duszę moie tłoczy:
Pierś moia się wydyma, i łzy leią oczy.
Dziś ieszcze gdyś z naszego wychodził mieszkania,
Dla twoich zimnych członków przy słońcu ogrzania,
Patrząc na włość okrytą, buynym plonem w koło,
Na trzody po trawniku skaczące wesoło,

Na drzewa które mnogie owoce zginały;
Me włosy (rzekłeś płacząc) w weselu zsiwiały.
Żegnam się, żegnam z wami pola ulubione,
W krótce już was nie uyrzy me oko ściężone;
Żegnam was piękne gaie, roskoszne drzew cienie,
Nie długo was za inne pięknieysze zamienie.
Oycze któryś tak trudne dla mnie podiął prace,
Toż cię to iuż nie długo na zawsze utracę.
Jak straszna iest! te chwile wyobrazić sobie,
W ten czas, ah w ten czas! ołtarz na twym wzniosę grobie.
A ilekroć szczęśliwy dzień mi się nawinie,
W którym nędznemu bratu co dobrze uczynię,
Tylekroć mówiąc: Oycze spełniam twe nadzieie,
Posypę grób twoy kwiaty i mlekiem poleie.

Umilkł, i oczy które łzy słodkiemi skropił,
Czule w oycu przed sobą leżącym utopił.
Jak śpi smaczno! i iak się przyiemnie uśmiecha!
Słodka sprawiedliwemu, i we śnie pociecha.
Zapewne iego cnoty ryiące marzenie,
W twarzy iego to słodkie stawia uśmiechnienie;
Błyszczy się iego głowa, iego broda siwa,
Wdzięcznym Xiężyca blaskiem mile połyskiwa.

Wiatry, o towarżysze wieczora chłodnego,
I ty kroplista roso! nie czyńcie mu złego.
Mówiąc to: na słodkiego snu oycu przerwanie,
Ogniste twarzy iego dał pocałowanie.
Wzbudzonego ku swemu prowadził mieszkaniu,
Chcąc mu zrządzić sen milszy na miękkim posłaniu.



SIELANKA VI.

LIKAS I MILON.

Dobry na fletni Milon, którego iagody,
Zdobił mech delikatny sypiącey się brody,
Tu i owdzie rozsiany: iako trawka mała,
Koląca się z pod śniegu, pod którym lezała.
Piękny Likas, którego pływaiące włosy,
Żołte były iak zboża doyźrzałego kłosy:
Swoie trzody pewnego prowadzący czasu,
Napadli się na rogu bukowego lasu.
O witam cię (rzekł Milon) witam cię Likasie!
Dobrze nam będzie spocząć w tym bukowym lasie,
Tym czasem nad tym stawem nasze chodząc trzody,
Będą na iego brzegach gryzły chróścik młody:
A moy pies na to czuyne obróci baczenie,
Aby nie poszły obie w błędne rozproszenie.

Nie ... lecz raczey Milonie, siądźmy przy tey skale,
Która wierzch swoy ku niebu wznosi okazale,
Którey dolne mchem miękim porosłe kamienie,
Daią spoczywaiącym wygodne siedzenie.

Jakże wielką to mieysce przyiemność posiada!
Oto z bliskiego wzgórku strumień czysty spada,
Który bieląc swą pianą ponadbrzerzną trawę,
Zda się w mokrą swe wody zamieniać kurzawę.
I bieżąc po wstrząśnioney z łoskotem krzewinie
Wpływa w staw nie daleki, w którym wreście ginie.
Siądźmy w tym pięknym mieyscu, a tych buków cienie,
Chłód świeży aż na nasze, rozciągną siedzenie.

(*Tu pasterze siedli pod skałą na kamieniach mchem porośnionych. Milon zabiera mowę.*)

O Likasie! (rzekł) pieśni od ciebie złożone,
Od dawności w tych stronach słyszałem chwalone,
Doświadźmy, kto z nas obu lepiey śpiewać będzie,
Bo i ia też w śpiewaków mogę stanąć rzędzie.
Jeżeli mnie przewyższysz, w nagrodę ci dana
Będzie, ta biała krowa, czarno cętkowana.

LIKAS.

Ja zaś ci dam naylepszą kozę z moiey trzody,
Która z wierzby bluszcz szarpie nad brzegiem tey wody.

Do niey ci to wesołe koźlątko przyłożę,
Które na bliskiey roli, stroi skoki choże.
Lecz któż będzie Milonie naszey sędzią walki?
Możnażby na to wezwać starego Menalki?
Oto widzisz pracuie około zwrócenia,
Na swoie łąki oschłe, bocznego strumienia.
Przestanieszże Milonie, na Menalki zdaniu?
Menalka bardzo dobrze zna się na śpiewaniu.

(Tu pasterze przyzywaią Menalki. Ten przychodzi i siada przy nich na mchem porosłym kamieniu, po czym Milon tak śpiewać zaczyna.)

Szczęśliwy ten co pięknych muz łąską uczczony,
Siebie i innych bawi roskosznemi tony,
Jak to słodko gdy serce drgaiące z wesela,
Nie mogąc zmieścić szczęścia, innym go udziela;
Jak to iest słodko mowię w te szczęśliwe czasy,
Napełniać swym śpiewaniem okoliczne lasy.
Nigdy piosneczki moie nie są pięknieyszemi,
Jak gdy Xiężyc otoczon gwiazdami srebrnemi,
Lub iutrzenka różane sieiąca promienie,
Zmysły moie w roskoszne wprawiaią zmamienie;
Znam także, iż posępne i chmurzyste chwile,
Słodkobrzmiące śpiewanie wypogadza mile.

Z muz

Z muz łaski do śpiewania zdatności nabyłem,
Muzom te iak śnieg białą kozę przeznaczyłem,
Wnet wonnemi kwiatami zwieńczywszy iey głowę,
Zarznę ią na ofiarę, nócąc chimny nowe.

LIKAS.

Ledwie wpół słowa tworzył głos moy niewprawiony,
Gdy czasem na kolanach oyca posadzony,
Graiącego na dudce usilnie słuchałem,
I pieśń iego fałszywem tonem przetwarzałem:
Czasem dudkę z ust iego wziąwszy z uśmiechnieniem,
Napełniałem powietrze niezgodnym piszczeniem;
Lecz śpiącemu pewnego pan ziawił się czasu,
Dziecko (rzekł mi) bież prędko do bliskiego lasu,
I tam szukay piszczałki, którą Hylas młody
Zawiesił na mym dębie, gdy tu pasał trzody.
Po uczonym Hylasie, tyś grać godzien na ni,
Wczoray ieszcze w pobożney temu Bogu dani,
Złożywszy pączki świerzo szczepionego drzewa,
Wylałem dzban oleiu, i drugi mleczewa.

MILON.

Ta która wszystkich serca pod swę władzę skłania,
Miłość nas także często wzbudza do śpiewania:

Jey potężne natchnienie, silniey nas zachwyca,
Niż iutrzenka, chłód świerzy, i światło Xiężyca.
O momencie roskoszny! o chwilo szczęśliwa!
Gdy chwali nasze pieśni pasterka cnotliwa,
Gdy ie mile nadgradza, słodkiem uśmiechnieniem,
Albo wieńca na głowę pasterza włożeniem,
Dafne mnie raz nazwała swoim przyiacielem,
Odtąd me serce lubym, cieszy się weselem;
Odtąd dni życia mego czyste i radosne,
Pięknieyszemi są dla mnie niż słońce na wiosnę.
Odtąd słodsze ma fletnia wydaie kwilenie,
Dafne! ah piękna Dafne! twoie uśmiechnienie
Takie iest, iakie tworzy Ceres dobrotliwa,
Twoy dowcip i nauka, muzom wyrównywa.

LIKAS.

Nie dotknęły mnie długo kupidyna strzały,
W ten czas swobodny, Bogów nóciłem pochwały:
Spiewałem iak zaszczepiać latorośle młode,
Jak wyrabiać nabiały, iak chodować trzodę;
Lecz gdy uyrzałem Chloe, to dziewczę okrutne,
Głos moy nie nóci więcey, tylko pieśni smutne.
Odtąd ponury smutek, który w sercu noszę,
Jadem swoim me wszystkie, zaraża roskosze.

Już władzę nad mym sercem kupido utracał,
Już smutek rzadko kiedy do mey duszy wracał;
Lecz nadzieia swobody cale we mnie ginie,
Gdym znowu przy okrytey kwiatami śliwinie,
Uyrzał nócącą Chloe, iey roskoszne pienie,
Rozzarzyło w mym sercu, gasnące płomienie.
Zefiry, które mile po drzewie latały,
Deszcz kwiecistey na łono siedzącey spuszczały;
Deszcz, który przez swą białość, i przez swoy lot drzący,
Zdał się wystawiać oczom, śnieg w zimie lecący.

MILON.

Przy onym czarnym lesie strumień mruczny płynie;
Strumień maiący źrzodło, w przyległey krzewinie.
Tam często piękna Dafne swoie trzody żenie.
Nie dawno gdy iutrzenka miłe niosła dnienie,
Ozdobiłem to mieysce girlandy wonnemi,
Które pnie wszystkich krzewow kłęby kryiąc swemi,
Z krzaka na krzak ciągnione z zefiry igrały:
Rzekłby kto, że tam Nimfy Wenery mieszały,
Albo że tam roskoszney świątynia iest wiosny.
Teraz (rzekłem) na korze tey wyniosłey sosny,

Imię moie i Dafny kunsztownie wyryie,
Potym się w którymkolwiek z tych krzaków ukryie,
Abym mógł, gdy tu Dafne z swą trzodą przybędzie,
Zważać iak się uśmiechnie, lub co mówić będzie.
Mówiąc to, ledwom zaczął ryć drzewo sosnowę,
Gdy uczuię girlandę wieńczącą mą głowę.
Obrócę się zdumiony i zobaczę w tyle
Dafnę, która mnie wieńczy uśmiechniona mile.
Słyszałam (rzekła) wszystko... a gdy to mówiła,
Pocałowanie na mych ustach wycisnęła.

LIKAS.

Pod tym wzgórkiem ma chata w miłym stoi cieniu,
Me ule przy obrosłym kwiatami strumieniu
Stoią dwiema rzędami, oliwą pokryte,
W iey chłodzie pilnie robią pszczoły pracowite.
Chęć zbierania na kwiatach pożytecznych miodów,
Nie żenie ich daleko od moich ogrodów:
W nich brzęcząc nieustannie, w koło drzew lataią,
I dla mnie słodkie plony, do ulów zbieraią.
Widzisz na niedalekiey moie krowy łące,
Wymiona ich są mleka pełnością sterczące,
Na koło nich cielęta, wyskakuiąc żwawe,
Depczą swoiemi kroki rozkwitnioną trawę.

Widzisz iak z drugiey strony owiec i kóz wiele,
Szarpie Liście krzewiny, gryzie nowe ziele.
Chloe! to wszystko z Bogów mam ręki życzliwey,
Bogov ie mnie kochaią, bo iestem cnotliwy;
Ty mnie przecię nie kochasz, drwisz z mych ogniow
żywych.
Chloe! nie naśladuiesz Bogów sprawiedliwych.

(Tak śpiewali pasterze, a Menalka rzekł do nich:)

Komuż przysądzić zakład przyiemni śpiewacy,
Obydwaście iak widzę na fletni iednacy,
Słodszemi są od miodu wasze czułe pienia,
W dzięczniey płyną od wody mrucznego strumienia,
W przyiemnieysze wprawiaią serce zachwycenie,
Niż całunku na pięknych ustach wyciśnienie.
Bierz Milonie z koźlęciem kozę obiecaną,
Day Likasowi krowę czarnocętkowaną.

SIELANKA VII.

AMYNTAS.

Młody pasterz Amyntas nieiakiego czasu,
Powracał bardzo rano z pobliskiego lasu,
Siekierę niosł pod pachą, grzbiet ku ziemi zgięty,
Dźwigał chrost świerzo na płot iego ręką cięty;
Już był w połowie drogi, gdy uyrzał dąb młody,
Osadzony nad brzegiem bardzo prędkiey wody.
Moc rzeki z znacznym pędem z pagórku płynącey,
Zabrała warsztwę ziemi korzenie kryiącey.
Drzewo które iuż stałey podpory nie miało,
Smutnie upadku swego wyglądać się zdało!
Ah! wielka (rzekł Amyntas) stałaby się szkoda,
Gdyby to piękne drzewo obaliła woda.
Nie...nie powiedzą nigdy, że twoy wierzch wspaniały
Schłonęły burzne fale, aby nim miotały,
Dam ci z chrostu wzmocnienie, wstrzymać wodę zdatne,
A sam poydę do lasu i innego natnę.

Mówiąc to, chrost na swoim położony grzbiecie,
Składa, i w koło drzewa mocną tamę plecie,
Którą wypełnia ziemią na większe wzmocnienie.
A gdy iuż skończył tamę, i okrył korzenie,
Wziął siekierę na ramię i wzrok ucieszony
Rzuciwszy na płot świeżo swą ręką grodzony,
Pod drzewem które wzmocnił przeciw wody sile,
Wesół z dobrego czynu, uśmiechnął się mile.
Już się zbierał do lasu, iść i ciąć chrost nowy,
Gdy nań Dryada (a) temi zawołała słowy:
Jak to? bez oświadczenia wdzięczności powinney,
Jabym cię puścić miała pasterzu uczynny?
Ubogiś, i pięć tylko kóz żeniesz na paszę,
Powiedz co chcesz, a łaskę w wszystkim zyskasz naszę.
O Nimfo! ieżli mogę (rzekł pasterz ubogi)
Jeżli mogę me prożby nieść pod twoie nogi,
Palemona od żniwa choroba przyciska,
Moy iest sąsiad, zrób Nimfo niech zdrowie odzyska.

(a) *Nimfa mieszkaiąca w drzewie. Dryady bowiem podług Mitologii miały w opiece buki, dęby, z któremi razem rodziły się i ginęły.*

Jego prożby od Nimfy wysłuchane były,
Wkrotce *P*alemon pierwsze swe odzyskał siły.
Amintas zaś procz tego hoyną wziął nadgrodę;
Maiąc pola zyżnieysze i liczniey szą trzodę,
Stał się prędko bogatym. — Ludziom dobroczynnym,
Stokrotnie Bog powraca to co czynią innym.

SIELANKA VIII.

DAMON I DAFNE.

DAMON.

Przeszła iuż Dafno', przeszła ta ogromna burza,
Już więcey trzask piorunów uszu nieodurza,
Nie boy się Dafne, nie boy, iuż twoiey źrzenice,
Nie obrażą natrętnym światłem błyskawice,
Które wprzód nakształt długich ognistych strumieni
Snuły się po okrytey chmurami przestrzeni.
Wynidźmy z tey iaskini, iuż nasze barany,
Strzepuią krople wody z wełny deszczem zlany,
I z pod drzew, pod któremi stały potrwozone,
Rozchodzą się na pola deszczem ożywione.
Widzisz iak znowu słońce miłe światło ciska,
Na błyszczące perłami łąki i pastwiska.

W ten czas wziąwszy się lekko za ręce oboie,
Na bliskie pola kroki obrócili swoie.
Co za wspaniałość! (rzecze Dafne rozrzewniona)
Jak przyiemnie ta cała uśmiecha się strona!

Czarne chmury co niebios okrywały szczyty,
Dzieląc się żywe oku stawiaią błękity:
Pierzchaią w wszystkie strony, i ich grube cienie
Tu i owdzie słoneczko po płaszczyźnie żenie.
Te trzody i te chaty cień ieszcze okrywa,
Ale słońce nadchodzi, i już go z nich zrywa,
A szerząc coraż więcey swe światło żywiące,
Pędzi go oto szypko po kwiecistey łące.

Ey! co za widok Dafne (wnet Damon zawoła,)
Oto dwa śliczney tęczy błyszczące pół koła.
Pierwsze które iaśnieysza przyozdabia cera,
Rogi swe na dwoch wzgórkach oddalonych wspiera,
I kolory, na czarney błyszczącemi chmurze,
Zwiastuie zatrwożoney spokoyność naturze.

Dafne odpowiedziała ściskaiąc go mile:
Widzisz iak stroi zefir z kwiaty krotofile,
Jak motyle przybrane w różnofarbne szaty,
Błyszczące dżdżu kroplami przebiegaią kwiaty.
I ten owad nikczemny wesoł z doli swoi,
W wyczyszczonym powietrzu kupami się roi.
Spoyrzyy na staw pobliski, te wodne krzewiny,
Tę drzące wiatrem listki, nadbrzeżney wikliny,

Te wierzby tu i owdzie nad wikle wzniesione,
Jak błyskaią do słońca deszczem pokropione,
Jak się pięknie odbiia z wód cicho stoiących
Obraz nieba i krzewow na koło rosnących.

DAMON.

Sciśniy mnie Dafne, ściśniy, co za radość żywa,
W me serce rozrzewnione w tym momencie wpływa.
Wszystko, co nam ta piękna stawia okolica,
I podnosi móy umysł i słodko zachwyca,
Od trawy aż do słońca, które ią ożywia,
Wszystko Dafne iest cudem, wszystko mnie zadziwia.
Gdy stanąwszy na piękney pagórka wysoczy,
Po rozległych równinach me przenoszę oczy,
Gdy miękko rozciągniony na kwiecistey łące
Uważam różne zioła i kwiaty pachniące.
Gdy w ten czas kiedy żywna kropi ziemie rosa,
Spoglądam na okryte gwiazdami niebiosa,
Gdy widzę iak porządnie rok swe pory zmienia,
I ziemi rozmaytego użycza odzienia.
Kiedy na te cudowne patrzę widowiska,
Tysiąc myśli rozmaytych w moy umysł się wciska;
Tysiąc czuciów rozmaytych moią duszą miota,
Serce w wydętey piersi, biie nakształt młota.

Ronię z oczu łzy choyne na ziemie upadam,
I Tworcy hołd powinny zadziwienia składam.
Nic się, nic, w ten czas z moim nie równa weselem,
Chyba myśl, żem iest Dafne twoim przyiacielem.

DAFNE.

Ah! na widok tych cudów, kochany Damonie,
W niemnieyszym zadziwieniu dusza moia tonie.
Połączeni oboie w naysłodszych ściśnieniach,
Patrzmy na wychodzącą w różanych promieniach
W piękne rano iutrzenkę, na słońce gasnące,
Na cichy blask Xiężyca, i na gwiazd tysiące,
Niech nasze piersi mocno połączone obie,
W tym słodkim uniesieniu drgaią przeciw sobie;
Niech to wielkie zdumienie, którymśmy natchnieni,
Nasza mowa zmieszana niekształtnie szepleni:
Co za roskosz niezmierna, gdy takie radości,
Łączą się do uniesień, nayczulszey miłości.

SIELANKA IX.

DAMON I FILLIS.

DAMON.

Już szesnastą Fillido teraz widzę wiosnę,
Wszystkie były iak zwyczay miłe i radosne,
Lecz ta ma szczególnieyszą w mych oczach okrasę:
Wiesz czemu? . . . . . Bo me trzody obok ciebie pasę.

FILLIS.

Jam także iuż trzynastą wiosnę zobaczyła,
Lecz żadna nad tę, milszą w mych oczach nie była:
Wiesz Czemu? . . . i niebawiąc Fillis rozrzewniona,
Przycisła go wzdychaiąc do swoiego łona.

DAMON

Widzisz Filido, widzisz iak ten gaik mały,
Czyni gęste sklepienie, na przeciw tey skały:
Słyszysz szmer z którym woda z niey tryska na piasek,
Mnoży go wdzięcznie skała i przyległy lasek,
Poydźmy w to piękne mieysce, tam sobie usiędziem
Na kwiecistym trawniku, i bawić się będziem.

FILLIS.

Wszystko co chcesz Damonie, bardzo chętnie zrobię,
Bo nie iestem wesołą, nie będąc przy tobie;
Widzisz iak serce mocno w moim biie łonie
Z radości, żem cię znowu napadła Damonie,
Jakem cię nie widziała, wnet pięć godzin minie.

DAMON.

Usiądź Fillido, usiądź, na tey koniczynie,
Czemusz nie mogę zawsze w chęć mego życzenia,
Widzieć twego uśmiechu, i twego spoyrzenia.
Nie . . . nie pogląday na mnie więcey w tym sposobie,
(Rzekł, i młodey pasterce przywarł oczy obie.)
Tak, wyznam ci to szczerze, gdy twoy wzrok uroczy,
Z tym swobodnym uśmiechem biie w moie oczy,
Nie wiem co się Fillido we mnie w ten czas dzieie,
Wzdycham, mówić nie mogę i cały trętwieie.

FILLIS.

Zdeym Damonie, zdeym, z oczu moich rękę twoię,
Bo ilekroć dotyka dłoń twoia dłoń moię,
Nie znane we mnie całey poruszenie czuie,
Serce me mocniey biie, głos mnie odstępuie.

DAMON.

Widzisz Fillido, widzisz, na tym rosłym dębie
Siedzące w podle siebie dwa dzikie gołębie,
Patrzay, patrzay, iak żywo skrzydłami trzepoczą,
Słuchy iak wspólnie sobie z czułością gruchoczą.
Ha! ha! ha! — Bodayże ci o rodzaiu luby!
Wszakże one swoiemi całuią się dziuby,
A złączywszy wzaiemnie szyie kolorowe,
Trą swe oczy o oczy, i głowę o głowę.
Fillido, i my naszę tak złączmy ramiona,
Jak złączyła swe skrzydła ta para pieszczona;
Poday mi twoią szyię, i oko urocze,
Niech na nich całowanie podobne wytłocze.

FILLIS.

Damonie! twoie usta włóż na usta moie,
A potym będziemy się pieścili oboie.

DAMON.

Ah! słodycz którą me mnie ta pieszczota rodzi,
Wszystkie Fillido, wszystkie, słodyczy przechodzi;
Dzięki, wam dzięki za nie, roskoszne gołębie,
Niech was nigdy nie schwycą drapierzne iastrzębie.

FILLIS.

Dzięki wam ptaszki, za tę naukę przyiemną,
Zlećcie na me kolana, i mieszkaycie ze mną,
Będę was naytroskliwiey u siebie chowała,
Będę wam dobre ziarna po polach zbierała.
A gdy do pieszczot siędę przy lubym Damonie,
Wy się także możecie pieścić na mym łonie;
Ale widze słów moich gołąbki nie czuią,
Ah! nie przychodzą do mnie... Ah! iuż odlatuią...

DAMON.

Słuchay Fillidoś, obraz stawia mi się nowy,
Amynt słodycz całowań śpiewał temi słowy:

Nie tak miła i zimna woda
Żeńcom zmordowanym,
Jaka z całunkow swoboda,
Dwiema rozkochanym.

Szelest co im towarzyszy,
Sto razy miley się słyszy,
Niżli w południe gorące,
Zrzodło w chłodnym gaiku, z skały tryskaiące.

FILLIS.

Tak iest, nad całowania nic słodszego nie ma;
Poydź, spytamy się Chloi, co też ona mniema;
Ale wprzod popraw moię pleciankę różowę,
Bo całuiąc mnie, całą zmierzwiłeś mi głowę.

SIELANKA X.

Dzbanek stłuczony.

Faun z koziemi nogami w śnie zgrążon głębokim
Leżał na miękkiey trawie pod dębem wysokim,
Postrzegły to dwa blisko pasące chłopięta,
Na iego nogi (rzekły) włóżmy mocne pęta,
Jego ręce przywiążmy do bliskiego drzewa,
Pewnie nam chcąc mieć wolność, pieśń iaką zaśpiewa.
Zrobili tak, a potym by mu sen przerwali,
Gnąc iego kozie nogi, żołądź nań rzucali.
„ Gdzie iestem? gdzie ma fletnia? gdzie dzban ulubiony?
Ah! oto są skorupy! oto on stłuczony.
Wczoray gdy się piiany do mey groty wlukłem,
Upadłem na tym mieyscu, i dzban piękny stłukłem.
Ale ktoż mnie skrępował? „ spoyrzawszy zaś dalii,
Postrzegł chłopców, którzy się od śmiechu pukali.
„ W tych chłopcach zawsze licho chęć do figlów nieci,
Rozwiążcie mnie, rozwiążcie, dość tych żartów dzieci. „

Oni na to: nie pierwey na wolność powrucisz,
Aż nam wprzody choć iednę piosneczkę zanucisz.
„Jakieyż chcecie piosneczki, (rzekł Faun uśmiechniony,)
Oto wam będę śpiewał moy dzbanek stłuczony.
Tym czasem zaś pasterze siądźcie przy mnie sobie.„
Siedli, a on im zaczął w tym śpiewać sposobie:

Nie masz, iuż nie masz dzbanka, dzbanka prześlicznego,
Stłukł się niestety! stłukł się, ot skorupy z niego.
Piękny dzbanku! ty byłeś groty mey ozdobą,
Żaden z dzbanków nie zrównał, i niezrówna z tobą.
Gdy który Bóg przechodził koło dómu mego,
Wołałem: mam dzban śliczny, poydź będziem pić z niego.
Jowisz nawet gdy w Bogów biesiaduie kole,
Nigdy takiego dzbanka nie miał na swym stole.

Ale nie masz iuż nie masz dzbanka prześlicznego,
Stłukł się niestety! stłukł się, ot skorupy z niego.
Gdy się do mnie zebrali przyiaciele mili,
Obsiadłszy wkoło dzbanek wesołośmy pili.

I piiący koleią śpiewali zdarzenie,
Na dotchniętey wargami wyrażone ścienie.
Gdy się do mnie zbierzecie przyiaciele mili,
Już więcey z tego dzbanka nie będziecie pili;
Nie będzie od was więcey śpiewane zdarzenie,
Na dotchniętey wargami wyrażone ścienie.

Nie masz iuż, nie masz dzbanka, dzbanka prześlicznego,
Stłukł się niestety! stłukł się, ot skorupy z niego.
Na nim obraz nędznego wyrażono pana,
W momencie w którym Nimfa od niego kochana,
Nimfa, którey w tych stronach żadna nie zrównała,
W iego ręku w krzak trzciny zmienioną została.
Jak gorzkie nieszczęśliwy! łzy na ten czas sączył!
Urznął z niey kilka pieńków, woskiem ie połączył,
Zrobił z nich wieyską fletnię, na trawę się rzucił,
I na tey smutney fletni pieśn żałośną nucił,
Usłyszawszy to echo, echo gadatliwe,
Powtorzyło na koło te tony płaczliwe.

Nie masz iuż, nie masz dzbanka, dzbanka prześlicznego,
Stłukł się niestety! stłukł się, ot skorupy z niego.

Wyrażono Jowisza, który w kształcie byka,
Z piękną na grzbiecie Nimfą przez morze umyka.
Łamała ręce krzycząc: Europa stroskana,
Jowisz alabastrowe lizał iey kolana.
Z włosami piękney Nimfy zefiry igrały,
W koło nich na Delfinach Amory pływały.

Ale nie masz iuż, nie masz, dzbanka prześlicznego,
Stłukł się niestety! stłukł się, ot skorupy z niego.
Bachus na inney dzbanka wyrznięty był ścianie,
W pokrytey winnym liściem siedzący altanie,
Piękna Nimfa przy boku iego spoczywała:
Lewą rękę na szyi Bachusa trzymała,
Prawą brała mu kielich, winem napełniony,
Zdał się iey tego wzbraniać Bachus uśmiechniony,
Nimfa wzrok swoy omdlały w twarz iego wlepiła,
I aby z nią się pieścił, oczyma mówiła.
U nóg iego pstrokate tygrysy igrały,
I łasząc się, iagody z rąk Amorów brały.

Ale nie masz iuż, nie masz, dzbanka prześlicznego,
Stłukł się niestety! stłukł się, ot skorupy z niego.
Powtorz to mowne echo okolicznym gaiom,
Powtorz Faunom, co w leśnych iaskiniach mieszkaią,

Powiedz: nie masz już, nie masz, dzbanka prze-
ślicznego,
Stłukł się niestety! stłukł się, ot skorupy z niego.

Skończył Faun, a pasterze którzy go słuchali,
Jego ręce i nogi zaraz rozwiązali,
A potym oczy swoie wlepili ciekawie,
W szczątki pięknego dzbanka leżące na trawie.

SIELANKA XI.

DAFNIS I CHLOE.

Już, iuż, przybliżało się słońce do zachodu,
Już ziemi przyiemnego pozwalało chłodu,
Już zapach powracało kwiatom wyczerpanym,
Kiedy nadobna Chloe, z Dafnisem kochanym,
Wyszli nad brzeg strumienia, co w cichey dolinie,
Przerzyna gay wierzbowy, i szeleszcząc płynie.
Weszli w roskoszny lasek, a gdy w iego cienu,
Chodzą i rozmawiaią, w słodkim uniesieniu,
Nagle zoczą Alexa, który mało wprzody,
Wszedłszy tam, siadł i słuchał, szeleszczącey wody.
Alexy pasterz młody i wielce urodny,
Jeszcze nie znał miłości, ieszcze żył swobodny.
„Pozdrawiam cię młodziencze (rzekł Dafnis roz-
śmiany.
Jużeś to z pięknych oczów i ty dostał rany?
Zapewne cię w te mieysca miłość sprowadziła!
Słodki iest cień kochankom i osobność miła,
Ja i Chloe, co wieczor mamy we zwyczaiu,
Spiewać miłosne pieśni, w tym spokoynym gaiu.

(Mówiąc to , ścisnął ręke swoiemu kochaniu,)
Chcesz i ty bydź naszemu obecnym śpiewaniu ? „

ALEXYS.

Jeszcze żadney urody, żadnych oczów siła,
W sercu moim miłości ognia nie wznieciła,
Wyszedłem na to mieysce, abym przy dnia końcu,
Przyyrzał się kryiącemu iasne lica słońcu.
Chętnie iednak na wasze przystanę podanie,
Bo mnie słodko rozrzewnia wieczorne śpiewanie.

DAFNIS.

Siądźmy kochana Chloe, siądźmy przy tym stoku,
Ja siądę przy Alexym, ty siądź przy mym boku.
Dostań piękny Alexy, dostań fletni twoi,
Ty mnie będziesz wtórował, a ia będę Chloi.
Chętnie wszystko co każesz (rzekł Alexis) zrobie,
Siedli, a Dafnis zaczął w tym śpiewać sposobie.

DAFNIS.

Zdroiu! ozdobo gaiku tego,
I ty równino zielona,
Znacież wy nad nas co szczęśliwszego,
Ja kocham Chloe, mnie ona.

Jey

* * * *

Jey piękne oczy, iey twarz rumiana,
Takie tchną we mnie zmamienie,
Jakie tchnie słońce gdy wdzięcznie z rana,
Pierwsze wynosi promienie.

* * * *

Kwiat piękną barwę w ten czas przywdziewa,
Ptaki wesoło śpiewaią,
A przelatuiąc z drzewa do drzewa,
Krople z nich rosy strącaią.

CHLOE.

Gdy w krształt zieloney odzierzy
Naturę wiosna ubiera,
Jaskółka co w stawie leży,
Z roskoszą oczy otwiera.

* * *

Lata po wierzbach do koła,
Spiewa nad brzegiem radosna,
I na Towarzyszki woła:
Wstaycie, Wstaycie! Oto wiosna.

* * *

Jey radość, iey uniesienie,
Tysiąc razy w sercu czuie,
Na każde słodkie wspomnienie,
Że mnie moy Dafnis miłuie.

* * *

Miła wiosna rozkwitnięta,
Miły, wesoły poranek,
Ale wierzcie mi Dziewczęta,
Milszy cnotliwy kochanek.

DAFNIS.

Bardzo iest dla mnie widokiem miłym,
Patrzyć na swawolne kozy,
Gdy te po wzgorku chodząc pochyłym,
Szarpią liść zieloney łozy.

* * * *

Nie rownie większą przyiemność czuię,
Na widok kwiecistey kosy,
Ktora na głowie Chloi się snuie,
Między ślicznemi iey włosy.

* * * *

Wdzięczną ma postać w chwile pogodne
Lazurne nieba sklepienie,
Bardziey iest miłe, bardziey swobodne,
Życzliwe Chloi spoyrzenie.

* * * *

Rybki wesoło igraią w stoku,
Miły skowronkom chłod rana,
Ja nayweselszy gdy przy twym boku
Usiędę, Chloe kochana.

CHLOE.

Jest przy mym domku krynica,
Wlepiwszy wzrok w iey krzystały,
Rzekłam: „Oby się me lica
Dafnisowi spodobały!„

* * *

Gdym te słowa domawiała,
Ty za mną w cichości stałeś,
I z wolna bym nie poznała,
Kwiaty na wodę rzucałeś.

* * *

Woda kwiatami wstząśniona,
Obraz mey twarzy gubiła,
Czym ia zrazu przelękniona,
Głowem moię w tył zwróciła.

* * *

Widząc cię czulem westchnyła,
Tyś mnie przycisnął do siebie,
I rzekłeś: „ Ah Chloe miła,
Ja żyć niemogę bez ciebie. „

* * *

„ Nie tak (rzekłam) lubi pszczołka
Kwiaty z których miod wysysa,
Nie tak lubią rosę ziołka,
Jak ia moiego Dafnisa.

DAFNIS.

Ah Chloe! gdy ty zalana łzami,
Przyciskaiąc mnie do siebie,
Koralowemi mówisz ustami:
„ Dafnisie ia kocham ciebie. „

* * * *

Ja rozrzewniony wzrok w niebo wznoszę,
I czule wzdychaiąc mówię:
„Taką szczęśliwość, takie roskosze,
Czym wam odwdzięczę Bogowie.„

* * * *

Ledwie wymówię te słowa krótkie,
Upadam na łono twoie,
Płaczę, a twoie całunki słodkie,
Scieraią z oczu łzy moie.

CHLOE.

Gdy łzy z twych oczu płynące,
Ocieram całunki memi,
Ja sama łzy choyne sącze,
I mieszam z łzami twoiemi.

* * *

Wzdycham, „Ah! miły Dafnisie,
Ah! Chloe:„ ty wzdychasz z łzami,
A echo do nas łączy się
I wzdycha z obiema nami.

* * *

Kwiaty na łąkach rosnące,
Lubią w piękną wiosnę trzody,
A zaś w południe gorące,
Miłe im są gaiow chłody.

* * *

Dla mnie nic niema milszego,
Nic mnie tak nie kontentuie,
Jak gdy z ust Dafnisa mego
Słyszę, że on mnie miłuie.

Takim Dafnis i Chloe rzewnili się pieniem:
„Dzieci! szczęśliwe dzieci! (rzekł Alex) z westchnieniem,
Widzę iż miłość szczęście naywyższe stanowi,
To głos, to uniesienie, to mi wzrok wasz mowi.„

SIELANKA XII.

LIKAS.

czyli

Wynalezienie Ogrodów.

Kiedy teraz ponura i burzliwa zima,
W odludney samotnosci po domach nas trzyma,
Kiedy wiatr który częściey i gwałtowniey wieie,
Nakształt srebrnego deszczu, śnieg płatkami sieie,
Myśl moia obrazami zaięta iest cała,
Ktore w przyiemnych roku porach uzbierała.
Idzie na piękne łąki, nad buyne zagony,
Patrzy na choyne dary życzliwey pomony.
Z tych rozmaitych obrazów pięknieysze wybiorę,
I w nię wiersze dla ciebie ma Dafno przybiorę.
Tak pęk kwiatów po łące zebrawszy kochanek,
Z pięknieyszych tylko składa dla kochanki wianek.
Dafno! Dziś ci zanócę iako pasterz młody,
Pierwszy w dziecinstwie świata wynalazł ogrody.

Daley mówi Likas.

W tym mieyscu, gdzie się wznosi ta lipa wspaniała,
Pierwszy raz piękna Chloe mnie pacałowała,
A kiedy cię ściskały moie ręce drzące,
Kiedy łzy, rwane słowa, i serce biiące
Tłomaczyły ci miłość, która mnie zaięła,
Tyś w tym mieyscu siedziała i czuleś westchnęła.
W ten czas wypadła laska z twoiey ręki drzącey,
W ten czas do moiey piersi przylgnęłaś drgaiącey;
Milczałaś w uniesieniu, a po krótkim czasie,
Rzekłaś mi drzącym głosem: „Kocham cię Likasie.
O wy źrzodła osobne, wy spokoyne gaie,
Bądźcie świadkami ogniow, które mu wyznaie;
Słyszałyście sto razy me płaczliwe głosy.
Kwiaty! na was łzy moie stały nakształt rosy.„

O Chloe! co za radość, co za roskosz miła!
Mnie całego w tey chwili swobodnie przeszyła!
Tak ... Miłość niesie z sobą dobro niezrownane —
Niech to drzewo na zawsze będzie iey oddane.
Posadzę pięknofarbe w koło uiego róże,
Korzeń iego przyiemną socznicą obłożę,

Która na okręconych w koło niego prętkach,
Rozwinie kwiaty białe w purpurowych cętkach.
Całą swobodną wiosnę w to mieysce zgromadzę,
Przy piękney piwonii, lilią osadzę;
Pozbieram z łąk i polów naypięknieysze kwiatki:
Fiołeczki, gwoździki, dzwonki i bławatki.
Zrobię z nich mały lasek, który słodką wonie,
Rozszerzy na około w to ciche ustronie.
Potym z bliskiego zdroiu sprowadziwszy wodę,
Nią ten gaiczek kwiatow na koło obwiodę.
By zaś spokoyne owce i kozy ochocze,
Nie psuły pracy moiey, cierniem ią otocze.
Zlećcie się w ten czas, zlećcie, roskoszne ptaszęta,
Które miłość na wiosnę w czułe pary pęta;
Zlećcie synogarlice czułe i płaczliwe,
I na tey lipie, ięki wydaycie rzewliwe.
Miłość waszym żywiołem, i lube igraszki,
Zlećcie się na to mieysce, zlećcie moie ptaszki.
Gońcie swe towarzyszki po krzakach różanych,
Spiewaycie wasze szczęście na ich prętach chwianych,
I wy w pięknyck kolorów ustroione szaty,
Zbiegaycie się motyle, zbiegaycie na kwiaty,
I łączcie się pełne słodkiego omamienia,
Na liliach przez wasze wstrzęsłych uniesienia.

W ten czas przechodząc pasterz mimo to ustronie,
Zawoła z rozrzewnieniem, czuiąc słodką wonie:
I któremuż iest Bostwu to mieysce oddane?
Masz za panią Wenerę? czyli tez Dyanę?
Która go w tym zamiarze, tak pięknie przybrała,
By po pracach myśliwych swobodnie w nim spała.

SIELANKA XIII.

PALEMON. (a)

Gończe złotego słońca, różana iutrzenko,
Jużeś to w chątki moiey zayrzała okienko?
O iak ślicznie z twey twarzy promień bije czysty,
Przez te młode gałązki leszczyny krzewisty!
I ty, coś tu pod belką zlepiła gniazdeczko,
Nócąc sobie świt biały witasz iaskułeczko!
Już i ranny skowronek wdzięczny głos wydaie,
Wzbiwszy się lekkim skrzydłem na powietrzne
kraie.
Wszystko ze snu głuchego przyrodzenie wstawa,
Zwilżona chłodną rosą podniosła się trawa,
Każdy się kwiat rozwiia, i kształt bierze żywy,
I mnie się zdaie że moy włos odmłodniał siwy.

(a) *Tę Sielankę tłómaczył Adam Naruszewicz, i nazwał ią PACIERZ STARUSZKA. Kładę iego tłómaczenie, bo iest wyborne. W ten czas tylko tłómaczyć można dwa razy iedno dzieło, kiedy albo pierwsze tłómaczenie nie iest doskonałe, albo drugie może bydź doskonalsze.*

Kiiu móy ty staroœci mey wieczna podporo,
Prowadź mnie, iuż bez ciebie w tym wieku nie
sporo,
Za tym sobie ogródkiem na wschod słońca siędę,
I łąkom się zielonym przypatrywać będę.

Lasy, pagórki, pola, nieścignione okiem!
O iak cudnie myśl błędną karmicie widokiem!
Którekolwiek mych uszu dolatuią pienia,
Wszystkie są głosem szczęścia, głosem dziękczy-
nienia.
Pastuszek na ugorze, ptaszek na gałęzi
Opiewa słodką radość, co mu serce więzi.
Skaczą wesołe trzody po wzgórkach zielonych,
Po dolinach, czystemi strugi przeplecionych;
Harcuią tłuste capy, byk się zbiia z bykiem,
Każdy chucznym wesele okazuiąc rykiem.
Długoż, ah! długoż ieszcze, Twórco moy łaskawy,
Patrzyć będę na dziwne Boskiey ręki sprawy,
I świadkiem twey dobroci? Już dziewiąty schodzi
Krzyżyk wieku, iako się w śliczną postać młodzi,
Po białey zimie wiosna, a gdy myśl skrzydlata,
Patrząc na czas upłynny, ściga zbiegłe lata,

I plac ow dwiema kresy otoczony mierzy,
Co się między mym grobem, i kolebką szerzy,
Cała ta niezmierzona perspektywa okiem,
Dni iasnych, dni fortunnych opływa potokiem.
Ah! iak mi serce pała, wiekuisty BOŻE!
Ta radość niezwyczayna którą ledwie może
Zaiąkliwy wyrazić ięzyk, te łez tonie,
Które hoynym strumieniem bieżą po mym łonie,
Znam dobrze iak są podłe, iak słabe podzięki,
Za wszystkie dobrodzieystwa, którem wziął z twey ręki.
Płyńcie choynym potokiem, płyńcie oczy moie,
Wytaczaycie obfite łez rzęsistych zdroie.
Przeżyłem tyle latek, miło wspomnieć na to,
Że mi wszystkie tak zeszły iak roskoszne lato.
Ile dni tyle pociech, a lubo ie ktora,
Nagłego smutku czasem zasępiła chmura,
Były to owe tylko krótkie drzewołomy,
Co z gęstym deszczem straszne wysypawszy gromy,
Po małey chwili nikną, a swemi przechody,
W cudnieyszy kształt obloką pola i ogrody.
Nigdy letniego słońca bystremi pożogi,
Nie zmnieyszyły się na mych gruntach plenne brogi,

Nigdy mróz tęgi rosłych szczepów mi nie skaził,
Nigdy pomorek doynych krówek nie zaraził,
Nigdy srogiemi brzucha zmęczony przemory
Nie wlazł wilk krwawożerca do moiey obory,
Ani mi kiedy tłustych baranów podawił,
Nigdy w mey chatce długo zły wróg nie zabawił,
Wszystko mi szło szczęśliwie, wszystko iako z
płatka,
Była bogata chatka, poczciwa czeladka.

A któż ieszcze wyrazić radość owę zdoła,
Gdy mnie nadobne dziatki obsiadły do koła,
Kiedym iedne prowadząc za drobniuchne ręce,
Uczył bespiecznie stawiać stopki niemowlęce;
Drugie skacząc na łono z ucieszny m pośpiechem,
Bawiły płochą mową, i wdzięcznym uśmiechem.
A ia patrząc na owe płonki młodociane,
Myśliłem sobie w sercu, póki lata rane,
Póki roszczki nie doszłe, póki listek wązki,
Trzeba mieć pieczą o was, drogie me gałązki.
Będę was od wszelkiego trefunku ochraniał,
Krzosał, odwilżał, czyścił, przykrywał, zasłaniał,
Wiem że Bóg dobrotliwy, ziści me nadzieie,
Każda się z was buynieyszym liściem przyodzieie,

Każda setny da owoc, a wasze też cienie,
Dadzą starości moiey, słodkie przygarnienie.
To myśląc do sercam ie uprzeymie przytulał,
I częstom się w tych myślach choynie łzami ulał.
Teraz gdy iuż pod twoią opieką urosły,
Twórco moy! i nie płonne owoce przyniosły.
Ciesząc się z trosk podiętych, i łożoney prace,
Czekam poki śmierć w domek moy nie zakołace.
Tak właśnie rosły moie naymilsze pociechy,
Jako oto te gruszki! oto te orzechy!
Com ie przed laty, by mi skwar letni nie wadził,
Około chatki moiey, we dwa rzędy sadził;
Teraz gdy roztoczyły szerokie ramiony,
Mam z nich w iesieni owoc, mam w lecie zasłony.

Ty sama; trosków moich, ty żalów iedyną
Stałaś się, ukochana małżonko przyczyną,
Tyś bieg radości trwałych, niestety! przerwała,
Gdyś mi z oczu, w podziemne kraie uleciała!
Pomnę, ah pomnę! kiedy przy ostatnim skonie,
Złożyłaś na pół martwą głowę na mym łonie,
Kiedym struchlałą ręką oczy twe zawierał,
I z tobą razem z srogich frasunkow umierał.

Już to dwónasta wiosna miia od tey daty,
Jak twoy grób łzami zlewam, i sypię nań kwiaty,
Lecz w krótce dzień wesoły, dzień przyidzie fortunny,
Co me kości położy obok twoiey trunny.
A te serca co w śliczney wiek spędziły dobie,
I po śmierci spoczywać będą w iednym grobie.
Kto wie, kto kiedy Boskie zbadał taiemnice,
Jakie życiu ludzkiemu zamierzył granice,
Może i dziś, (Ty sam znasz nieśmiertelny Panie)
Skołatana starością łodź u brzegu stanie!
Różnemi się sposoby śmierć o człeka kusi,
Młody może, lecz stary prędzey umrzeć musi.
Cożkolwiek bądź, dziękuięć święta opatrzności,
Żeś wiek moy aż ostatniey podała starości.
Ta mięka włosów wełna, ten blask mleczney brody
Nie sąż to naygłównieysze łask twoich dowody?
Jeden wziął skarby drogie, drugi imię świetne,
Naywięcey, co ze zdrowiem wziął życie stoletne.
Wietrzyku, co tu sobie lekko polatuiesz,
Jedne ziołka kołyszesz, a drugie całuiesz,
Nie gardź tą siwą bródką, a przez wdzięczne wianie,
Day też iey nad miod słodsze ust pocałowanie.

Szacownieysza ta starość, ten wiek ubielony,]
Niż w misterne pierścienie warkocz utrefiony
Udatnego młodzieńca, lub kiedy roztoczy
Cudnieyszy włos Cytera, Argusowych oczy,
A z czoła powabnego, i brwi iasnozłotey,
Rani serca pochopne, żarzystemi groty.
Niechże ten dzień wesela moiego dowodem
Będzie, niech uroczystym iaśnieie obchodem.
Zbiorę me dziatki, wnuczki, z prawnucząt orszakiem,
I te co są w pieluchach, i co pełzną rakiem,
Oddam dobroczynnemu chołd powinny Bogu,
Zbuduię z darnia ołtarz, u mey chatki progu,
Otoczę różnofarbnym wieńcem siwe skronie,
A drżącą ręką brząkać będę na ba'donie.
Wszyscy staniem w około, a na dziękczynienie,
Za wzięte dary słodkie zanuciemy pienie,
Potym stół posypawszy kwieciem, ieść ofiarę
Upieczoną będziemy, i pić wino stare.
To wyrzekłszy staruszek wrócił się do chatki,
Budzić na wspólny pacierz, ieszcze śpiące dziatki.
A iuż i słońce ruszać poczęło z za chmury,
I z grzędy pozlatałaały na dół czuyne kury.

SIELANKA XIV.

MIRTYL I TYRSYS.

Na pagórek wzniesiony, na piękney równinie
Udał się Mirtyl w wieczor o poźney godzinie,
Kilka suchych gałęzi paląc się wesoło,
Miłe światło i ciepło rozszerzały w koło,
Przy nich Mirtyl swobodnie na trawę rzucony,
Scigał okiem firmament gwiazdami sklepiony.
A czasem zmordowane zniżaiąc źrzenice,
Na ziaśnione Xiężycem patrzył okolice.
W tym słysząc iż coś lekko podle niego szmerze,
Spoyrzy w tył zatrworzony i Tyrsa postrzerze.
„O witayże! (rzekł Mirtyl) gdy wszystko spoczywa
Coż cię tu na te mieysca Tyrsysie przyzywa?
Miłe mi iest twe przyyyście, siądź przy ogniu sobie.

TYRSYS.

Tyżeś to iest Mirtylu? dobry wieczor tobie.
Ah! gdybym wprzody wiedział że cię tu zastanę,
Nie byłyby tak długo me kroki wstrzymane,

Szedłbym nie wahaiąc się po świetle płomienia,
Błyszczącego tak pięknie, w pośrzod nocy cienia.
Lecz słuchay: Gdy blask ciemny i smutny Xiężyca,
I milcząca ponuro cała okolica
Do pieśni nas poważnych wzywaią w tey porze,
Słuchay i chciey wykonać to co ci przełożę:
Mam piękną z gliny lampę, którą niegdy zrobił
Moy oyciec, i stosowną postacią ozdobił.
Jest to smok, co ma nogi i rozdarte skrzydła,
Knot się pali w otwartey paszczęce straszydła,
A ogon który zwierze zadziera ku gorze
Czyni obłąk, na którym lampa wisieć może.
Dam ci te piękną lampę, gdy na fletni twoi,
Zanucisz mi przypadek Dafnisa i Chloi.

MIRTYL.

Ponieważ ciemney nocy pieśń smutna przystoi,
Zaśpiewam ci przypadek Dafnisa i Chloi;
Oto suche gałęzie, przykładay starania,
By ogień w czasie mego nie zagasł śpiewania.

O wy ciemne iaskinie! wy skały sterczące!
Nieście daleko nieście, me tony płaczące.

Xiężye iaśniał spokoynie w pośrzod gwiazd tysiąca,
Nad brzegiem stała Chloe, troskliwa i drząca,
Małey czekaiąc łodzi, w ktorey Dafnis młody,
Bierzącey blisko rzeki miał przepłynąć wody.
Spoźnia się moy kochanek, (rzekła rozpłakana,
Słowik umilkł, by lepiey mogła bydź słyszana)
Spoźnia się... Ale oto szmer powstał na wodzie
Taki, iak kiedy fale biią w ściany łodzie.
Idzież on?... Tak... Lecz nie on, nie on to przychodzi.
Wodo, i twoyże ieszcze, twoyże mnie szmer zwodzi?
Nie żartuy sobie proszę, o rzeczko burzliwa!
Z pasterki, co kochanka czeka niecierpliwa.
Gdzież teraz? ah! gdzie iesteś moy kochanku drogi!
Nie włożyłaż swych skrzydeł miłość na twe nogi?
Jeżli teraz chcąc spełnić twoie słowo wiernie,
Idzież przez las, niech twych nóg nie porani ciernie,
Niechay wąż, który w krzakach snuie się i wiie,
Stopy twoiey fatalnym żądłem nie przeszyie.
O ty czysta Bogini! której pewne strzały
Biią tam, gdzie ie twoie ręce skierowały.
Diano! która także znasz miłości siłę,
Rozsiey na iego drogę, rozsiey swiatło miłe.

Ah! gdy z łodzi wynidzie, iak go rozrzewniona
Nie przycisnę gorąco do moiego łona!
Lecz tą razą o wody! które go niesiecie,
Tą razą mnie przynaymniey pewnie nie zwiedziecie.
Fale, o! w iego łòdkę biycie bardzo wolnie,
Nie rzucaycie nią proszę tu, owdzie swawolnie.
O nieście go na waszym nayostrożniey grzbiecie
Nimfy! które w tych wodách swobodnie żyiecie,
Ah! ieżeliście kiedy w swym życiu kochały,
Jeżliście na kochanka troskliwie czekały...
Lecz widzę go... witayże... nic nie odpowiada...
O Bogowie!... Tu Chloe omdlała upada.

O wy ciemne iaskinie! o skały sterczące!
Nieście daleko nieście, me tony płaczące.
Pływała w koło brzegu łódka wywrócona,
W bliskości biedna Chloe leżała omdlona.
Xiężyc świecił, okropne władało milczenie,
Chloe się odecknęła... O srogie ocknienie!
Siadła na brzegu drżąca, bez mowy, bez siły,
Jasną Xiężyca głowę obłoki zakryły.
Pierś Chloi mocno wzdęły wzdychania gwałtowne,
Krzyknęła... Krzyk iey echo powtorzyło mowne.

Jęczała... Ciche wiatry ięczenie iey niosły
Po lasku, i krzewinie, nad brzegami wzrosłey.
Chloe z obwisłey głowy, śliczne włosy rwała,
Pierś mo no tłukła pięścią, i ręce łamała.
Ah! Dafnisie! Dafnisie!... O rzeko zdradliwa!
O Nimfy!... Ah ia nędzna!... Ah ia ieszcze żywa
Nie szukam śmierci w wodzie, która mnie zdradziła!
Rzekła to, i natychmiast do rzeki wskoczyła.

O wy ciemne iąskinie! o skały sterczące!
Nieście daleko nieście, me iony płaczące.
Lecz Nimfy zlitowane, rozkazały groźnie
Falom, by na swym grzbiecie niosły ią ostrożnie.
Srogie! ah srogie Nimfy! krzyknęła w zapale,
Ah! nie zwłóczcie mey śmierci! ah! schłońcie mnie fale!
Fale iey nie słuchały, spokoynie ią niosły
Do brzegu małey wyspy krzakami porosłey.
Dafnis, o którym smutna mniemała że zginął,
Dafnis na iey brzeg dawniey szczęśliwie wypłynął.
Jak go czule ścisnęła! w iakie uniesienie
Wpadła wyrazić moie nie potrafi pienie.
Takie i mnieysze ieszcze wesele słowika,
Gdy z nudnego więzienia szczęśliwie umyka;

Jego czuła kochanka smutna i struchlała,
Całe nocy przez ten czas po drzewach ięczała,
Teraz leci z radością do kochanki luby,
Trzepoczą się skrzydłami, całuią się dziuby.
A tłomacząc wzaiemnie swoie uniesienia,
Cały lasek przez słodkie napełniaią pienia.

O wy ciemne iaskinie! o skały sterczące,
Nieście daleko nieście, me tony płaczące.
Teraz ziść się Tyrsysie w obietnicy twoi,
Spiewałem ci przypadek Dafnisa i Chloi.



SIELANKA XV.

CHLOE.

Nimfy! które swobodne i wesołe życie
W tey spokoyney iaskinie przyiemnie pędzicie;
Nimfy! coście sadziły waszą własną dłonią,
Gęste krzaki, które was od upałów chronią,
Co leiecie z swych wiader, te czystą krynicę,
Która mile ożywia całą okolicę.
Jeżeli na bliskim wzgórku, lub między krzakami,
Nie igracie wesoło z leśnemi Bogami,
Lub ieżeli nie śpicie, na swych wiadrach wsparte,
Skłońcie ucho na ięki użalenia warte:
Przyymiycie dobrotkiwie me płaczliwe głosy:
Kocham! kocham! Likasa, z żołtawemi włosy.
Czyście go nie widziały, gdy tędy na trawę
Wiodł cętkowane krowy, i cielęta żwawe?
A wydaiąc na fletni przyiemne kwilenia,
Wzbudzał echo do swoich tonów powtórzenia.
Czyliż wam są nie znane iego piękne oczy?
Jego postać mamiąca? iego śmiech uroczy?
Czyliście nie słyszały, iak roskosznie śpiewa?
Piękną wiosnę, pstrą iesień, i wesołe żniwa,

Pracę

Pracę w szczepieniu drzewek, ostrożność w zasiewie,
Kocham go! a on o twm że go kocham niewie!
Ty ktoraś nas z wesołych łąk i pol z egnała,
Smutna i ostra zimo! iakżeś długo trwała?
Jakże długo przez ciebie żyiem oddaleni?
Ostatni raz Likasa widziałam w iesieni,
Leżał w ten czas w gaiku, ah! iakże był miły!
Jak wdzięcznie z włosy iego wiatry się bawiły!
Blask słońca na twarz iego pod ow czas biiący,
Rzucał na nię cień listków niestały i drzący.
Ah! zda się że go ieszcze widzę rzeczywiście,
Widzę po twarzy iego biegaiące liście;
Widzę na iego ustach słodkie uśmiechnienie,
Jakie zwykło wydawać swobodne marzenie.
Zbierałam śpieszno kwiaty dla zrobienia wieńca,
Otoczyłam nim włosy, i fletnią młodzieńca,
Potym kryiąc się w chrostu przyległego cienie,
Rzekłam: Tu będę czekać na iego ocknienie.
Kiedy się z iego powiek sen smaczny rozwieie,
Jakże on się zadziwi? iakże się rozśmieie?
Widząc fletnią i czoło kwiatami zwi..zane;
Zapewne mnie zobaczy, gdy w tym mieyscu stanę:
Gdyby mnie zaś nie doszła iego brew ściężała,
O w ten czas bym się z niego bardzo głośno śmiała.

Rzekłam to, i natychmiast skryłam się w chrost bliski,
W tym na mnie zawołały moie towarzyski.
O iakże się gniewałam na te natrętnice!
Ah! musiałam opuścić ulubione lice!
Ah! musiałam nie patrzyć na to uśmiechnienie,
Które na nim wymogło pierwsze odecknienie.
O iakże iestem znowu w tey chwili radosna!
Oto wraca iuż do nas ulubiona wiosna!
Oto go znowu w krótce na łąkach zobaczę,
Na te myśl mocno serce w moim łonie skaczę.
Nimfy! za te nadzieie, któremi się cieszę,
Na gałęziach tych krzaków wieńce wam zawieszę;
Wieńce tkane z fiołków i kwiatow maiowych,
Z stokroci, lilii polnych, i pierwiosnków płowych.
Nymfy! ah pamiętaycie o moim płomieniu.
Gdy kiedy zaśnie Likas przy waszym strumieniu,
Mówcie mu, że go Chloe kwiatami związała,
Że miłością ku niemu naygorętszą pała.

W ten sposob biedna Chloe Nimfom się żaliła,
Potym na gołych krzakach wieńce rozwiesiła,
W tym uderzył iey uszy, cichy szmer z iaskini,
Jaki echo po fletni oddaloney czyni.

SIELANKA XVI.

MENALKAS I ESCHINES.

MYSLIWIEC.

Młody pasterz Menalkas, pasąc w górach owce,
Wszedł, szukaiąc z nich iedney w zarosłe m anowce
Chodząc po dzikiey kniei, postrzeże zdumiony
Człowieka, który leżał pod krzakiem omdlony.
Ah! poczciwy młodzieńcze!(rzekł człowiek omdlały)
Wszedłem wczoray pomiędzy te sterczące skały,
Scigać kozy pierzchliwe, i zażarte świnie;
Obłąkany w tey dzikiey i ciemney gęstwinie,
Niemogłem żadney chaty znaleść dla spocznienia,
Żadney wody do picia, żadnego iedzenia,
Miey litość, bardzo nagła ściska mnie potrzeba."
Menalkas dobył z torby i sera i chleba,
Potym flaszę u pasa zawieszoną bierze,
Posil się przyiacielu! oto mleko świerze,
Gdy zaś nabędziesz siły, poydź moiemi kroki,
A ia ciebie wywiodę z tey kniei głębokiey.
Gdy uczynił myśliwiec, co mu pasterz radził,
Menalkas go z zarosłey kniei wyprowadził.

ESCHINES.

Wróciłeś mnie do życia przyiemny młodziencze,
Czym że ci za tę twoią uczynność odwdzięcze,
Ot poydź ze mną do miasta, rzuć tę wieś znęd zniałą
Nie uyrzysz tam chat strzechą okrytych zbutwiałą,
Lecz pałace wzniesione pod same obłoki,
Które pysznie otacza, rząd słupow wysoki.
Będziesz ze mną młodziencze wraz do stołu siadał,
Pił złotemi kielichy, zsrebrnych misek iadał.

MENALKAS.

Dziękuię przyiacielu, za twoie podanie,
Moia chata bespieczne daie mi mieszkanie:
Broni mnie i od deszczow, i od wiatrow srogich,
A choć słupy nie wieńczą moich ścian ubogich,
Stoią w koło niey krzaki, i wyniosłe drzewa,
Które wiosna corocznie zielono odziewa.
Czerpam wodę ze źrzodła w gliniane naczynie,
Czasem nawet przy słodkim dumam sobie winie,
A pokarm dostateczny, do moiey wygody,
Daią mi buyne drzewa, i opasłe trzody.
Chociasz złota i srebra nie masz między nami,
Zdobiemy za to stoły, wonnemi kwiatami.

ESCHINES.

Ey! poydź ze mną pasterzu, rzuć tę podłe chaty,
I u nas także rosną i drzewa i kwiaty.
Sztuka nieomylnemi rządzona początki,
Z pierwszych robi ulice, drugie składa w grządki.
Mamy także i źrzodła, te bronzowe panny
Leią w naszych ogrodach w marmurowe wanny.

MENALKAS

Pięknieyszy chłodny gaik z krzywemi drogami,
Pięknieysze buyne łąki, upstrzone kwiatami,
I moiey także chaty niekształtne podworze,
Przyozdabia maieran, liliie i róże.
O iak są piękne źrzodła z skały tryskaiące,
Lub z porosłych pagórków na łąki bierzące;
O iak wdzięczna natura swą własną ozdobą,
Nie, nie poydę do miasta przyiacielu z tobą.

ESCHINES.

Tam uyrzysz piękne panny w iedwabney odzierzy,
Maiące kolor róży i lilii świeżey,
Które złotem i perły okryte wspaniale,
Nie pieką się w skwarliwym południa upale;

Muzycy biegłą ręką w miękkie biiąc strony,
Omamią twoie ucho pieszczonemi tony.

MENALKAS.

Ma brunatna dziewczyna iest też także ładna,
Mogą bydź nad nią bielsze, ale milsza żadna.
Ah! gdybyś ią oglądał, w ten czas kiedy włoży
Na swą głowę pstry wieniec, w swe łono pęk roży.
O iakże nam iest miło, kiedy w świerzym cieniu
Siędziemi podle siebie! przy mrucznym strumieniu;
Ona śpiewa na ten czas, o iak ślicznie śpiewa!
Jey tonom moia fletnia wesoło przygrywa,
Okolica naszemi brzmi wdzięcznie pieśniami,
A głos nasz mowne echo powtarza za nami.
Czasem nas także bawią różnoptore ptaki,
Które nócą po drzewach, i pomiędzy krzaki.
Czy nad ranne skowronki i czułe słowiki,
Przyiemniey wasze biegłe śpiewaią muzyki?
Nie, nie wyrówna człowiek, natury ozdobom.
Ah! nie poydę do miasta przyiacielu z tobą.

ESCHINES.

Coż ci więc dam pasterzu w nadrodę twey cnoty.
Weźmiy tę garść dukatów i ten rożek złoty.

MENALKAS.

Mam wszystko. Na coż mi się twoie złoto przyda,
Czyliż mi za nię trzoda więcey mleka wyda?
Albo drzewa przyniosą plon bardziey bogaty?
Czy złotem od łąk wonne kupuią się kwiaty?

ESCHINES.

Cóż ci tedy dać mogę szczęśliwy młodzieńcze?
I iakim ci sposobem twą grzeczność odwdzięczę?
Kiedy nie dbasz o złoto i wygody nasze.

MENALKAS.

Day mi przy twoim boku zawieszoną flaszę,
Na którey iest wyryty kształtnie Bachus młody,
Z Amory, co zbieraią do koszow iagody.
Wnet zyskuie Menalkas dar którego pragnie,
I skacze od radości, iako młode iagnie.

SIELANKA XVII.

MIRTYL i DAFNE.

czyli

MIŁOSC SYNOWSKA.

MIRTYL.

Tak rano? moia siostro! ledwie pierwsze dnienie
Rzuciło na świat czarny, swe słabe promienie;
Ledwie gdzie słychać tony pasterskich multanek,
Ledwie kogut przywitał wesoły poranek,
Ledwie co wczesne ptastwo poobudzało się,
Ty wstałaś moia siostro i biegasz po rosie.
Powiedz mi co za święto będziesz dzisiay miała,
Ześ tak wcześnie Kosz pełny kwiatów uzbierała.

DAFNE.

O witayże, witayże! moy bracie kochany!
Dla czegoż cię na polach, świt ogląda rany?

Co tak wcześnie kazało opuścić ci łoże?
Ja tu zbieram pierwiosnki, fiołki i róże,
Któremi wprzod niż oyciec i matka powstanie,
Posypę ich wygodne i miękkie posłanie.
Niechay roskoszny zapach ocknionych uderzy,
Niech się cieszą zoczywszy kwiat na łużku świerzy.

MIRTYL.

Siostro! którą nad własne bardziey kocham życie,
Nie dziw się, że na polach widzisz mnie o świcie.
Nasz oyciec często na tym spoczywa pagorze,
Słyszałaś iak w wczorayszym mówił nam wieczorze:
Byłoby dobrze, gdyby ten wzgórek swobodny,
Na swoim pięknym grzbiecie nosił szałasz chłodny.
Słysząc te iego słowa, spokoynie siedziałem,
Dziś zrana przed wyniściem iutrzenki powstałem,
Naciąłem młodych drzewek, szałasz z nich zrobiłem.
I giętką iego ściany leszczyną pokryłem.
Widzisz kochana siostro! że robota cała
W moich ręku zupełnie skończoną została;
Nie wyday mnie przed oycem, aż ią sam zobaczy,
O iakże się zadziwi? iakże się uraczy?

DAFNE.

O pewnie się zadziwi, pewnie się uraczy!
Gdy pierwszy raz ten szałasz przez okno zobaczy.
Teraz biegnę do chaty, i na oycow łoże
Wysypę te pierwiosnki, fiołki i roże.

MIRTYL.

Gdy Ich wonność za pierwszym uderzy ockniemiem
Patrzyć będą na siebie z słodkiem uśmiechnieniem,
I rzekną: nasza Dafne to wszystko zrobiła,
Lecz gdzież ona iest teraz, ta dziewczyna miła?
Kiedyśmy smaczno spali, ona iuż nie spała,
I o naszych uciechach troskliwie myślała.

DAFNE.

Gdy oyciec z swego okna ten szałasz zobaczy,
Pewnie rzecze zdziwiony: i coż się to znaczy?
Stoi iak widzę szałasz na pagorka grzbiecie,
Moy go syn pewnie zrobił, co za dobre dziecie!
O niech będzie szczęśliwy! luba słodycz spania,
Nie gubi w nim czułego o moy wiek starania.
O co to dla nas będzie za radość iedyna!
Kto od dobrego dzieła poranek zaczyna,
Temu zawsze opatrzność dobrotliwa sprzyia,
Temu na każdym kwiatku radość się rozwiia.

SIELANKA XVIII.

FILLIS I CHLOE

czyli

KOSZYCZEK.

FILLIS.

Jak widzę Chloe, ten koszyk mały,
Na twoiey ręce nosisz dzień cały.

CHLOE.

Tak, tak Fillido ten koszyk mały,
Na moiey ręce noszę dzień cały,
I 'a koszyna tak mi iest miła,
Zebym ią i za całą trzodę nie zmieniła,
Rzekła te słowa i rozrzewniona
Przycisnęła koszyczek do swoiego łona.

FILLIS.

Coż w tym koszyczku Chloe znayduiesz,
Że go tak bardzo drogo szacuiesz.

Ey! zgadnę... Chloe!... Chloe kochana!
Jesteś na twarzy cała rumiana.

CHLOE.

Rumiana?

FILLIS.

Tak iest, i tak rumiana,
Jak gdyby na twarz twoią słońce biło z rana.

CHLOE.

Luba Fillido prawdę ci powiem,
Nie masz się cale z czym kryć, albowiem
Dał mi ten koszyk Amyntas młody,
Amyntas pasterz śliczney urody,
Sam go swoiemi rękami zrobił;
Ah! widzisz iak go mile ozdobił,
Jak wdzięcznie ten liść świerzy, te kwiaty czerwone,
Są między białe prątki wplecione.
Ah! w nim są wszystkie moie roskosze,
Gdziekolwiek idę wszędzie go noszę;
Wdzięcznieyszey woni dostaią roże,
Gdy ich do mego koszyczka włożę.

Owoc nabywa smaku lepszego,
Kiedy go biorę z koszyczka mego.
Fillis!... Lecz wszystkoż wiedzieć byś miała?...
Jużem go nieraz ucałowała;
Całe me serce iemu należy,
On naypięknieyszy z naszych pasterzy!

FILLIS.

Widziałam gdy ten koszyczek składał,
Wieszże co w ten czas do niego gadał?
Lecz i moy pasterz Alexys młody,
Równa twoiemu co do urody,
Pewniebyś mi to Chloe przyznała,
Gdybyś śpiewanie iego słyszała,
Gdy się do tego podała pora,
Zanócę ci piosneczkę, którą śpiewał wczora.

CHLOE.

Lecz gdy Amyntas koszyczek składał,
Coż też na ten czas do niego gadał?

FILLIS.

Całą ci iego powtórze mowę,
Lecz wprzód zanócę pieśń Alexowę.

CHLOE.

Ah! Fillis!... Może iest przedłużona.

FILLIS.

Zobaczysz, słuchay, oto iest ona!
,, Gdy na pagórku pod wieczor stoie,
A słońce na mnie rzuca promienie,
Serce Fillido na ten czas moie,
Nayslodsze zwykło czuć uniesienie;
To uniesienie we mnie się dwoi,
Gdy widzę uśmiech na twarzy twoi.

* * *
* *

Nie tak Fillido! nie tak wesoły
Powraca żniwiarz do domu swego,
Kiedy do pełney niesie stodoły,
Ostatni snopek zboża plennego,
Jak ia twe wziąwszy ucałowanie,
Idę swobodnie na me mieszkanie.,,

CHLOE.

Slicznie!... Lecz kiedy koszyczek składał,
Co też Amyntas do niego gadał?

FILLIS.

Teraz twey żądzy dosyć uczynię.
Nad brzegiem stawu siedział w wiklinie,
I kiedy z łozy układał giętkiey
Białe, zielone i szare prętki,
Utopion cały w robocie swoi
Mówił: „Koszyczku! chcę cię dać Chloi!
Chloi, która się tak wdzięcznie śmieie,
Że na iey uśmiech ledwie nie mdleię.
W wczorayszy wieczor gdy swoie trzody
Pędziła koło moiey zagrody,
Temi się do mnie ozwała słowy:
„Dobra noc bądź mi Amynto zdrowy.„
I wraz tak na mnie spoyrzała, miło,
Że serce młotem w mey piersi biło.
Prącie odemnie świerzo nacięte!
O nie łamże się gdy będziesz gięte.
O gniy się ręce posłuszne moi,
Wszak poydziesz w ręce nadobney Chloi.
Gdybyż koszyku rada ci była!
Gdybyż cię często w ręku nosiła!
O byłbym w ten czas uszczęśliwiony.„
Tym czasem koszyk został skończony.

Gdy go Amyntas pięknym bydź zoczył,
Wstał, i z radości wesoło skoczył.

CHLOE.

Ah! idę, idę! wiem że w tym czasie,
Za onym wzgórkiem swą trzodę pasie.
Przechodząc mimo rzeknę do niego:
„Oto twoy koszyk u boku mego.„



SIELANKA XIX.

MENALKAS I TYTYRUS.

czyli

POWABY JESIENI.

Wystawion słońca promieniom miłym,
Leżał stary Menalkas na wzgórku pochyłym,
I rozrzewnione czule źrzenice,
Na ubraną przez iesień rzucał okolice.
Tym czasem Tytyr, młodszy syn iego,
Stał przy nim od dawności, nie widzian od niego,
Wzdychał staruszek pełen zmamienia,
A Tytyr wlepiał w niego radosne spoyrzenia.
„Oycze! (rzekł wreszcie syn rozrzewniony)
O iak teraz bydź musisz słodko zachwycony!
Widzę od dawna że twe źrzenice,
Na ubraną przez iesień rzucasz okolicę.
Słyszę w twych piersiach częste wzdychanie,
O spełniy oycze! spełniy! me iedno żądanie!„

MENALKAS.

„Powiedz mi synu twoie żądanie,
I siądź bym ci oycowskie dał ucałowanie.„
Wnet usiadł Tytyr, starzec wesoło
Ucałował po trzykroć swego syna czoło.
„Oycze! (tak daley, Tytyrus gadał)
O nie raz mi o tobie brat starszy powiadał,
Bo ile razy trzodę pasiemy,
Siedząc w cieniu o tobie moy oycze mówiemy,
A nasze czułe na ten czas oczy
Nayprzyiemnieysza radość łzy słodkiemi broczy.
Brat mi więc mówił: że ta wieś cała,
Naylepszym cię z śpiwaków niegdy nazywała,
Że gdy z innemi w walce śpiewałeś,
W znak zwycięztwa nie iednę kozę pozyskałeś.
Ah! teraz kiedy ta cała strona
Rozmaytemi ozdoby przez iesień upstrzona,
Daie ci słodkie czuć uniesienie,
Ah! gdybyżeś chciał śpiewać chociaż iedno pienie,
Nie gardź, o nie gardź, moim proszeniem.
Menalkas odpowiedział z słodkim uśmiechnieniem:
Pragnę doswiadczyć synu moy miły,
Czy muzy swych mi ieszcze względow nie umknyły;

Muzy, przy których dzielnym wspieraniu,
Tyle razy zwycięztwo odniosłem w śpiewaniu.
Tu starzec ieszcze swoie źrzenicę,
Na ubraną przez iesień rzucił okolicę.

(I zaczął w tym sposobie.)

Muży! bądźcie mi ieszcze życzliwe,
I me wołanie przyimcie chrapliwe;
W dni moich wiosny to w chłodnych cieniach,
To przy mruczących wdzięcznie strumieniach
Nigdyście dla mnie skąpe nie były,
Użyczciesz mi i teraz do śpiewania siły.
Pola po miłym omdlone lecie,
Jakież w mą duszę czucia leiecie!
Rok który teraz iuż, iuż umiera,
W iakże się pyszną postać przybiera!
Nad brzegiem stawu zbladniała trzcina,
Pożółtły wierzby, zżółtła wiklina.
Przyiemnie stroią wzgórki i rozległe błonie,
Poczerwienione wiśnie, zżółtniałe iabłonie.
Lasy spłowiałym liściem okryte,
Równie w swych farbach są rozmaite,
Jak łąki kiedy w nie wiosna miła
Tysiące ślicznych kwiatów rzuciła.

Z wierzchołka góry czerwoność blada,
Z wolna na piękną dolinę spada.
Tę przerywaią iodły i sosny,
Miły zabytek zieloney wiosny.
Liście po ziemi iuż rozsypane
Szumi idących stopy deptane.
Z wolną powagą owce barany,
Chodzą po trawie z kwiatow obraney.
Wy Drzewa z których owoc doyźrzały,
Nie dawno nasze ręce zebrały;
Drzewa daiące przyiemne chłody,
Tak dla pasterza, iak i dla trzody,
Już swe zielone szaty składacie,
Już do spoczynku się zabieracie!
O! niech z nas synu żaden swey głowy
Na odpoczynek nie da grobowy,
Aż wprzód owoce wyda łagodne,
Rzuci na nędznych cienie swobodne.
W sprawiedliwego chacie oborze,
Błogosławieństwo spoczywa Boże!
Serce, ó synu! kto ma poczciwe,
Kto złożył w Bogu ufanie żywe,
Ten w całey swego życia podroży,
Na mylnym bągnie stopy nie złoży.

Synu! poczciwy gdy o co prosi,
Modlitwa iego w niebo się wznosi,
A Bóg na wszystkie iego żądania,
Oycowskie ucho łaskawie skłania.
Nigdy krakanie smutnych puchaczy,
Nieszczęścia w iego domu nie znaczy,
Prostym, lecz trwałym oddan uciechom,
Żyie swobodny pod cichą strzechą.
Prawda że i wśrzód wiosny swobodny,
Przychodzi czasem dzień niepogodny;
Prawda że w iasnym i miłym lecie,
Wznosi się chmura co gromy miecie;
Lecz nie mrucz synu gdy w dni przyiemne,
Bóg czasem wmiesza godziny ciemne.
Synu moy! ia przed tobą położę się w grobie,
Lecz ty me słowa pamiętay sobie.
O nocne burze! o wiatry dzienne!
Szanuycie, ah szanuycie! ozdoby iesienne.
Zryway powoli wietrzyku mały,
Z drzew obumarłych, liść powiędniały,
Niechay, ah niechay! pstra okolica
Długo me ieszcze oko zachwyca.
A gdy piękna iesieni! wrócisz z wdzięki twemi,
Już mnie w ten czas podobno nie będzie na ziemi,

Przeniosę się gdzieindziey, przeniosę wieczyście,
Któreż drzewo na móy grób swoie rzuci liście?
Tak śpiewał starzec, a Tytyr młody
Oblawszy łzami swoie iagody,
Na iego ręce słabey i drzącey,
Wycisnął z rozrzywnieniem całunek gorący.

SIELANKA XX.

WYNALEZIENIE LIRY I SPIEWANIA.

W pierwszey nowego świata młodości,
Kiedy człek ieszcze żył w niewinności,
Kiedy potrzeba kunszta tworzyła,
Młoda i piękna panienka żyła;
Żadna iey w wdziękach niewyrównała,
Żadna tak czułych zmysłów nie miała.
Każdy pięknego wdzięk przyrodzenia,
Słodkie w iey dusze lał uniesienia;
Kiedy iutrzenka ranna wstawała,
Ona słodkiemi łzy ią witała;
Kiedy gorzało słońce gasnące,
Kiedy gwiazd świetnych wyszły tysiące,
Gdy xiężyc iaśniał bladym promieniem,
Pierś iey nadymała się swobodnym westchnieniem.
Spiewanie nie ujęte żadnym tonów szykiem,
Prostym było na ow czas radości wykrzykiem.

Jak tylko kogut ogłosił rany,
Że iuż poranek wraca rumiany,
Już bowiem ludzie na swą zabawę,
Zwierzęta, ptaki bardziey łaskawe,
Pokarmem który dla nich rzucali,
Do swoich mieszkań poprzyuczali.
Gdy tedy kogut ogłosił rany,
Że iuż poranek wraca rumiany,
Zaraz panienka szałasz rzucała,
W którey całą noc swobodnie spała.
Był to dach płaski, złożony z trzciny,
I gęstych prętów świerzey iodliny,
Na drzewach blisko stóiących wsparty,
W tey z czterech boków budzie otwartey,
Mieszkała w nocy, i w dni gorące,
Nad nią mieszkały ptaki nucące.
Co rano z budy swey wychodziła,
By na zroszone pola patrzyła,
I by słuchała kwilenia ptaków,
Nócących w pośrzód pobliskich krzaków.
Mile ich tonów siedząc słuchała,
I te powtarzać usiłowała.
Wnet przez iey usta płynęły śliczne,
Tony roskoszne i harmoniczne,

Jey

Jey głos tak piękny i tak był składny,
Jak do tych czasow ieszcze u zadney.
Z nóty każdego ptaka coś brała,
I to na iednę nótę składała.
Dnia więc pewnego po ranney dobie,
Odezwała się w takim sposobie:

Drobna gromado śpiewaków,
Głos twoich treli pieszczonych,
Jak mile brzmi z drzew wzniesionych,
I z łona tych gęstych krzaków.
Ah! mogłażbym twemi tony
Witać poranek czerwony.

* *
*

Naucz mnie gromado miła!
Naucz twoiego kwilenia,
Abym wraz z tobą nóciła,
Moie słodkie uniesienia,
Gdy po tym roskosznym lesie,
Słońce swe światło rozniesie.

Tak mówiła, a iey głos swobodny i śliczny
Układał się niechcący w pomiar harmoniczny,
I na koniec postrzegła w słodkim uniesieniu
Głos swoy, miłemu ptaków podobny nóceniu.
I tak daley ciągnęła:

O iak mnie słodko żachwyca,
Gaik brzmiący ptaszków głosy,
O iak mami okolica,
Błyszcząca kroplami rosy.

* *
*

O ty któryś wszystko stworzył!
Co za radość w sobie czuię,
Kiedy się zdatną znayduię,
Wdzięczniey śpiewać chwały twoie,
Niż współrówiennice moie.

Spiewała, a iey głosem gaiczek brzmiał cały,
Ptaki zmilkłe iey tonow ciekawie słuchały.
Codzień do gaiu z rana chodziła,
I tam się w nowym kunszcie ćwiczyła;

Lecz od dawnego chodził też czasu
Młodzieniec pewny do tegoż lasu,
I naysłodszego w śrzód uniesienia,
Jey roskosznego słuchał nócenią.
Między bliskiemi krzakami skryty
Słuchał, i nie raz stawał iak wryty.
Potym w odległe krzewy się chował,
I naśladować iey usiłował.
W swey z czterech boków budzie otwartey,
Siedział raz w myślach na łuku wsparty,
Gdyż srogich ptaków dla zabiiania
Wynalazł sposób z łuku strzelania.
Nie raz, albowiem krwawe iastrzębie,
Chwytały iego piękne gołębie,
Dla których na pniu wyniosłey brzozy,
Zawiesił domek pleciony z łozy.
Coż za nieznane (mówił) wzruszenia,
Gorzkie w mych piersiach budzą westchnienia?
I co za czucie tkwiąc w sercu moiem,
Mnie całego napełnia srogim niepokoiem?
Prawda że kiedy podług zwyczaiu,
Patrzę na piękną dziewczynę w gaiu.
I iey lubego słucham nócenia,
Ten niepokoy, w łzy słodkie, i radość się zmienią;

Lecz znowu, kiedy sam się znayduię,
Pierwszy niepokoy w mym sercu czuię.
Coż za nieznane ah poruszenia!
Gorzkie w mych piersiach budzą westchnienia!
W tym nieco mocniey dotknął się strony,
Która spinała łuk natężony,
Ta iego ręką tknięta zadrzała,
I wdzięczny odgłos drzący wydała.
Nadstawił ucha chłopiec zdziwiony,
I znowu iak wprżod dotchnął się strony.
Myślił potym, i na to swey natężył głowy,
Aby wydoskonalić wynalazek nowy.
Często więc swoiey doświadczał strony,
Z ielit drapierznych ptaków kręcony.
Zerwał się nagle pewnego czasu,
I spiesznym krokiem pobiegł do lasu,
Tam w gęstych krzakach giętkiey leszczyny,
Urznął nierówne cztery chabiny.
Dwie iedne krótsze, dwie inne długie,
Z końcami pierwszych połączył drugie,
I ten poprostu czworkąt zrobiony,
Wyciągnionemi nawiązał strony.
Trącał w nie ręką. Różna stron siła
Ucho iego różnemi tony uderzyła.

Kiedy ten skutek postrzegł zdziwiony,
Rozwiązał znowu z czworkąta strony;
Ich pierwszą liczbę znacznie pomnożył,
I harmoniczniey onę ułożył.
Potym grać na nich zaczął, a roskoszne tony
Słysząc, skakał radością miłą uniesiony.

Każdego rana od tego czasu,
Do pobliskiego grać chodził lasu.
I gdy panienka jak zwyczay miała,
Spiewaniem ranną zorzę witała,
To melodyyne ust iey śpiewanie,
Chciał naśladować przez swe brząkanie;
Lecz mimo liczby stron pomnożoney,
Znaydowały się w iey pieśniach tony,
Których mu dobrać nie było można,
Długo więc iego chęć była próżna,
Aż siedzącemu nakoniec w lesie,
Bostwo iakoweś pokazuie się,
Na iego lirze strony przemienia,
I swoie przed nim wygrywa pienia.
Tak wyćwiczony nauką iego,
Chodził do gaiu rana każdego,

I tam ukryty w gęstey krzewinie,
Przysłuchywał się ładney dziewczynie,
Potym odchodził i iey śpiewanie
Powtarzał przez foremne na lutni brząkanie.

Raz w miłey chwili pięknego rana,
Swierzemi kwiaty skronie związana
Panienka w cieniach gaiu siedziała,
I tak przyiemnym tonem śpiewała:
Witam cię, witam czule, o słońce mamiące,
Słońce z wspaniałym blaskiem z za gór wychodzące,
Już błyszczą twe promienie na wierzchołkach drzewa,
I na piorach skowronka, który lecąc śpiewa.
Tobie nócą w tym gaiu ptaszęta wesóło,
I... Tu nagle zmilknęła i patrzyła w koło.
Co za głos (rzekła w reszcie) co za głos pieszczony?
Miesza się w me śpiewanie, przetwarza me tony?
Gdzież iesteś?.,. Czemu milczysz?... śpieway głosie miły,
Milszy niż gdyby wszystkie ptaszęta nóciły.
Jeśliś gaiku tego mieszkańcem pierzystym,
O wzleć! o usiądź na tym dębie rozłożystym,

Niech Cię widzę i twego niech słucham nócenia,
Rzekła, i swe do koła przeniosła wspoyźrzenia.
Czyliś trwożna ptaszyno precz iuż odleciała?
Czyliś... Lecz możem wcale głosu nie słyszała,
Może mnie oszukało błędne przywidzenie,
Jednak zanócę sobie iedno ieszcze pienie.

Witam was, witam roskoszne kwiaty,
Wczora ieszczeście pączkami były,
Dziś iuż wzięłyście błyszczące szaty,
I zapach z siebie puszczacie miły.

* *
*

Z wami bawi się zefir wesoły,
Wam hołd oddaią brzęczące pszczoły,
I pstre motyle, co tu się wiią,
I rosę na was stoiącą piią.

Często rwała pieśń swoię w wszystkie patrząc strony,
Zawsze bowiem głos pierwszy mieszał się w iey tony.

W tym porwała się nagle cokolwiek strworzona.
Nie, nie iestem (mówiła) nie iestem zwiedziona,
Widzę dowodnie że głos pieszczony,
Mieszą się w me śpiewanie przetwarza me tony.
Na te słowa z gęstwiny wyskoczy młodzieniec,
Maiący w ręku lirę, a na głowie wieniec.
Uiął mile za rękę dziewczynę strworzoną:
O luba panno (rzecze twarzą uśmiechnioną,
Głosem pełnym uięcia, pełnym przymilenia)
Nie mieszkaniec tych gaiów mieszał głos w twe pienia,
Ja to byłem, ia kształtnie w te brząkałem strony,
Gdyś z ust twych wypuszczała melodyine tony.
Chodziłem tu co rano; twych pieśni słuchałem,
Które potym na moiey lutni powtarzałem.
Tey mnie sztuki, wierz panno, Bostwo nauczyło,
Które mi dnia pewnego w gaiu się ziawiło.
Często nań wzrok swoy panna rzucała strworzony
Nakoniec go wlepiła w iego lutni strony.
O panienko! (rzekł chłopiec, patrząc na nię miło)
Ah! co by to za wielkie dla mnie szczęście było,
Gdybyśmi pozwoliła siąść przy boku twoim,
I twym pieśniom brząkaniem towarzyszyć moim.

Tu panna nań trworzliwe podniosła spoyrzenie.
Miło mi iest młodziencze! gdy stroń twoich brzmie-
nie
Miesza się w moie pieśni; bardziey iemu rada
Jestem, niż gdy mym tonom echo odpowiada.
Poydź wraz ze mną pod moię cienistą okrywę,
Bo oto się przybliża południe skwarliwe.
Tam schroniem się przed słońcem, które iuż do-
pieka,
Dam ci słodkich owoców, i świeżego mleka.

Poszli więc pod dach chłodny, i tam swoie chwile
Na roskosznym śpiewaniu przepędzali mile.
Od nich się nauczyli okólni pasterze,
I śpiewać miłe pieśni, i brząkać na lirze.
Aby oboyga pamięć nigdy nie zginęła,
Potomność na pagórku drzewa wszczepiła.
W ich cieniach drobnym dzieciom, poźne głoszą
wnuki,
Wynalazek i grania i śpiewania sztuki.

SIELANKA XXI.

MILON
czyli
PTASZEK.

W sosnowym gaiu, między krzak mi
Uchwycił Milon ptaszka małego,
Ptaszka pięknego swemi piorami,
Ale śpiewaniem swym pięknieyszego.

* * *

Dla swey zdobyczy ubespieczenia,
Zrobił mu z rąk swych demeczek mały,
I ucieszony niosł go do cienia
Gdzie iego trzody odpoczywały.

* * *

Kapelusz z głowy zrzucił słomiany,
Pod który więźnia swoiego włożył,
I biegł po pręty w gaik wiklany,
Aby z nich piękną klatkę ułożył.

* * *

O piękny ptaszku! gdy klatkę zrobię,
Śliczney cię Chloi dam w podarunek,
I za to (mówił) założę sobie,
Wycisnąć na iey ustach całunek.

* * *

Żądanie moie spełnieniu snadne,
Chloe dzikości nie zna upartey,
Da mi więc ieden, ia iey ukradnę
Drugi i trzeci, a nawet czwarty.

* * *

Gdybyś skończona iuż klatka była!
Rzekł, i narznąwszy wikliny siła,
Zaraz skwapliwie w to mieysce bieżał,
Kędy kapelusz słomiany leżał.

* * *

Lecz iakże smutek przeiął go żywy!
Podniosł kapelusz wicher burzliwy,
Uleciał mały ptaszek z pod niego,
A z ptaszkiem wszystkie całunki iego.

SIELANKA XXII.

FAUNY.

Ah! iuż dzień żaden nie iest mi miły,
Już piękne chwile dla mnie zginyły,
Z gorzkim westchnieniem rzekł Faun rogaty,
Wychodząc zrana ze swoiey chaty.
Odkąd mey piękney Nimfy nie widzę,
Odtąd widokiem słońca się brzydzę,
Odtąd iutrzenka iest dla mnie smutna,
Uszła odemnie! uszła okrutna!
Póki ią do mych nie wwiodę progów,
Póty nie zwieńczy bluszcz moich rogów,
Póty przed drzwiami mey prostey chaty,
Nie będą stały pachnące kwiaty:
Białe narcysy, stokrotki złote,
Wszystko to w pączkach nogę pogniotę.
Niechcę, ah niechcę uciechy żadney,
Ta fletnia miła, ten dzbanek ładny,
Które słodziły moię tesknotę,
Wszystko to wszystko, nogą pogniotę.

Gdy iuż dopełniał zamiaru swego,
Nagle Faun drugi przybiegł do niego.
Szaleiesz bracie! (krzyknął rozśmiany,
I miech z swych barków złożył skurzany)
Szaleiesz bracie! w tym dniu radości,
W dniu wielkiey Bachą uroczystości!
Omay twe rogi, omay kwiatami,
I poydź niezwłocznie obchodzić z nami,
Aż do poźnego tańcuiąc mroku,
Dzień naypięknieyszy całego roku.

Ah! (rzekł Faun pierwszy) Ah bracie miły!
Już, iuż dni piękne dla mnie zginyły.
Przysięgam, póki do mych nie wwiodę iey progów,
Póty zielonym bluszczem nie omaię rogów.
Co to za smutna godzina była,
Gdy przed goniącym mną uchodziła;
Biegła do rzeki, i na iey brzegu
Wstrzymana w swoim raptownym biegu,
Kilka momentow stała niepewna,
Ah! iuż mnie radość przeięła rzewna,
Ah! iuż, iuż one z lubym zapałem
Silnemi obiąć ramiony chciałem,

Kiedy Trytony, te wodne osły,
Nagle się z łona rzeki podniosły,
Nimfę przez śrzodek ciała schwyciły,
I z nią uchodząc w rogi trąbiły.
Na to wspomnienie truchleię cały,
I poprzysięgam na styxu wały,
Póki iey do mych nie wwiodę progów,
Póty nie zwieńczy bluszcz moich rogów.

I iedna tedy dziewka wyniosła,
Tak wielki smutek w twe serce wniosła?
(Mówił Faun drugi) o śmiać się muszę,
Co do mnie, twardszą posiadam duszę.
Wszystkie, o wszystkie w świecie dziewczyny,
Nie zasmucą mnie iedney godziny.
Gdy mi całunku iedna załuie,
Lecę do drugiey i tę całuię.
Przed tobą bracie przysięgę czynię,
Żadney odtąd całunku nie dałbym dziewczynie,
Gdyby mnie która w ten dzień poświęcony,
Godzinę między swemi wtrzymała ramiony.
Nie myślę serca dla iedney chować,
Chcę wszystkie kochać, wszystkie całować.

Nie żałuy bracie tey małey szkody,
Jeszcześ iest piękny, ieszcześ iest młody,
Wzrok twoy iest żywy, twarz twa brunatna,
Jest w swym rodzaiu dosyć udatna.
Twe czarne włosy pięknie się wiią,
I czoła twego połowę kryią.
Na nim gęstemi między kędziory,
Wznosi się para rogów do gory,
Które tak się wydaią wśrzód włosowych kłębów,
Jak w pośrzód dzikich krzaków para rosłych dębów.
Poydź bracie do nas, poydź dzień ten święcić,
Pozwól twe bluszczem rogi okręcić.
Oto latorośl piękna i świerza,
Poydź, poydź, godzina uczty się zbliża.
Już z za wyniosłych tey góry grzbietów,
Słychać głos Tyrsów, brzękadeł, fletów,
Zgniy głowę, łoskot coraz się bliży,
Zgniy prędko głowę, oto bluszcz świży.
Patrz iak pyszne tygrysy, ciągną wóz powoli,
Na koło zgraia Faunow z Nimfami swawoli.
O Ewan Ewoe, O Ewan Ewoe,
Spiesz się, iuż wieńcem iesteś na głowie związany,
Spiesz się, i na me barki włóż ten miech skurzany.
O Ewan Ewoe, O Ewan Ewoe.

SIELANKA XXIII.

MIŁOŚĆ

ZLE NADGRODZONA.

Pewnego wiosny wieczora,
Satyr w myśliwskie sieci wplątany,
Leżał pomiędzy trzciną ieziora,
Aż do iutrzenki wyniścia raney.
Jedna mu noga z sieci sterczała,
A resztę członków tak sieć zwikłała,
Iż mimo siły rzucania swego,
Nie mógł z iey pętów dobydź żadnego.
Już się przybliżać doń zaczynały
Przelatuiące po trzcinie ptaki,
Żaby na koło krzecząc skakały,
Przypatruiąc się zdobyczy taki.
„Chcę krzyczeć (mówił) chcę z całey mocy,
Aż kto przybędzie do mey pomocy.
Krzyczy więc, krzyk się iego rozlega,
Lasy, pagórki, role przebiega;

Pięć razy z całey zakrzyknął siły,
Pięć razy próżno skały, krzyk iego odbiły.
Aż wreszcie krzykiem pobudzon iego,
Wychodzi Faunus z gaiu bliskiego.
,, Z którey że ten krzyk pochodzi strony?,,
Zawołał głośno Faun zatrworzony.
,, Jeżli chcesz bym ci szedł do pomocy,
Jeszcze raz z całey zakrzykniy mocy.,,
Krzyknął więc ieszcze, a Faunus skoro
Kroki nad bliskie zwrócił iezioro,
W którym żebrzący iego posługi
Więzien, splątany leżał iak długi. —
,, Zaprzysięgam cię na Bogów świętych,
Ah! wyzwol mnie z tych sieci przeklętych;
Od wczorayszego leżę wieczora,
W smrodliwym błocie tego ieziora. — ,,
Na widok iego nogi sterczącey,
A reszty ciała w błocie leżącey,
I wśrzód niciany ch zwikłaney oków
Smiał się Faun, obu podparłszy boków.
Wreszcie go z przykrey dobywszy sieci,
Rzekł: ,, Dobrzeż się tu spało waszeci?
Ale coż cię to za los nieboże!
Na tak wygodne wprowadził łoże.,,

Tak nas (rzekł *Satyr*) płeć żeńska zdradza,
Tak nam gorącą miłość nadgradza,
Zawsze przeklinać będę godzinę,
W którey poznałem srogą dziewczynę;
Lecz siądźmy sobie w tey wierzby cieniu,
Bo czuię boleść w moim goleniu.,,
Siedli pod wierzbą, a Satyr zmutny
Tak opowiadał swoy traf okrutny.

Ah iuż bezmała miia rok cały,
Jak czuię w sobie mocne zapały
Ku piękney Nimfie tego strumyka,
Który z pod owey skały wynika,
Którą ciernina gęsta obwiodła,
Na którey stoi wysoka iodła.
Codziennie prawie w wieczorney dobie,
W progu iey groty siadałem sobie,
I aż do wznlyścia iutrzenki raney
Powiadałem iey iak srogie rany,
Swym wzrokiem memu sercu zadała,
Lecz ona wcale na to nie dbała.
Często iey na mey piszczałce grałem,
Często miłosną piosnkę śpiewałem,

Na którą mogła wzruszyć się skała,
Lecz ona w cale na to nie dbała.

FAUN

Ciekawy iestem słyszeć pieśń twoie.

SATYR.

Wiele, o wiele! przez życie moie
Zrobiłem pieśni, i to dość składnie,
Lecz nie pamiętam pięknieyszey nad nie.
Oto iest:
Nimfo! z której cudnemi zrównana powaby,
Sliczna Wenus ma postać pospolitey baby,
Zawszeż na ból z którym się od dawności biedzę,
Zimną będziesz iak kamień, na którym tu siedzę,
Mamże zawsze, o nędzny! u twey groty ślęczeć,
Piszczeć, śpiewać, zebrzący, skarżyć się i ięczeć?
Czy nie wiesz, iak rzecz miła i pełna wesela,
Młodego mieć przy swoim boku przyiaciela?
Zapytay się tey sowy, która za twą skałą
Mieszka sobie spokoynie sosnę wypruchniałą,
A która gdy noc na świat rzuci czarne cienie,
Wypuszcza z piersi swoich wesołe chuczenie.
Ah gdybyś osłodziła nudność mey tęskoty,
Tak bym wesoło chuczał idąc z twoiey groty.

Ah gdybyś piękna Nimfo, to wszystko zważyła,
Pewniebyś z swoiey groty do mnie wyskoczyła,
Pewniebyś otoczyła swe białe ramiona,
W koło mego, od słońca zczerniałego łona.
Wwiodłabyś mnie w swą grotę, ia na te swobodę
Skakałbym od radości, iako ciele młodę.
Ile razy o sroga! me ręce obwiodły
Wniście do twey iaskini gałęziami iodły,
Ile razy okryłem twoiey groty ściany,
Gałęziami dębiny żołędzią odzianey?
Ile razy troskliwy o twoie roskosze,
Kładłem przed twemi drzwiami iagod pełne kosze;
Kosze pełne orzechow, i doyrzałych płonkow,
Pełne słodkich winograń naylepszych korzonków.
Już od dawnego czasu, koziołka czarnego,
Uczę sztuk rozmaitych dla śmiechu twoiego.
Wołam, a on się wznosi, i mą twarz całuie,
Gram mu, a on powstaie, i iak ia tańcuie.
Odkąd we mnie o sroga! wzbudziłaś płomienie,
Nie miłe mi iest picie, nie miłe iedzenie,
I moy miech smakowitym winem napełniony,
Całe dni usty memi leży niedotchniony.
Twarz moia była niegdy okrągła iak bania,
Dziś schudłem, i zaledwie iestem do poznania.

Tacza się każdym wiatrem, moia postać lekka,
Sen nawet, sen swobodny z mych powiek ucieka.
Jak sobie w moiey grocie spałem dawniey cudnie,
Obudzało mnie tylko palące południe,
Lub gardło od tęgiego pragnienia zaschnięte,
Dziś całe nocy trzymam oko nie zamknięte.
O ulżyy piękna Nimfo, ulżyy twoiey chłosty,
O wolę się w kolące rzucić nago osty,
Wolę godzinę leżeć w piaskach rozpalonych,
Nie wilżąc kroplą wina mych piersi spragnionych.
Bielszą nad mleko Nimfo ustąp prożbie moi,
Ustąp iey, i natychmiast wynidź z groty twoi.
Opuść twoią samotność, poydź do moiey skały,
Nad którą ozdobnieyszey nie ma ten las cały;
Abyśmy w niey spoczywać mogli bez przykory,
Kozie dla nas oboyga rozpostarłem skory,
Dzbanki i kufle stoią, po iey każdey stronie
Słodką moszczu i wina wydaiące wonię.
Ach iak nam dzieci nasze widok dadzą miły?
Gdy pomiędzy dzbankami będą się goniły,
Albo siedząc na miechach winem napełnionych,
Wydądzą miłe głupstwa z swych ust niewprawio-
nych.

Przed drzwiami mey iaskini, dąb wysoki stoi,
Pod dębem posąg *Pana*, dzieło ręki moiey;
Płacze nadobney nimfy, która nim wzgardziła,
I która się w krzak trzciny uchodząc zmieniła.
Usta trzyma otwarte, a usta nie małe,
O mogłabyś w ich obwód włożyć iabłko całe;
Tak mocno żałość iego, tak mocno wydałem
Łzy nawet, łzy na twarzy iego wyrzezałem.
Ale ah! nie wychodzisz! — Odchodząc w mą grotę.
Muszę nieść dawną żałość, i dawną tęsknotę.

Tu umilkł, poiąć nie mogąc tego,
Że się szydersko śmiał Faunus z niego.
Lecz iakżeś tedy (rzekł Faun rozśmiany)
Jakżeś w te sieci został zwikłany?

SATYR.

Wczoray iak zwyczay przed grotą stałem,
I iak nayładniey pieśń mą śpiewałem.
Powtórzyłem me trzykroć śpiewanie,
Często przez mocne rwane wzdychanie,

Gdy smutny w moią odchodzę drogę
Nagle utkwioną czuię mą nogę
W sieci, na moie którą zwkłanie
Rzucono prędko, i niespodzianie
*P*adłem, a gdy się dobyć starałem,
Bardziey się ieszcze przez to zwikłałem.
*S*miech ucho moie głośny uderzył.
Nimfa z rowiennicami, ktoby temu wierzył?
Nagle w około mnie obskoczyły,
I nie litośnie w błoto wciągnyły.
„Oto tu iestem, (rzekła okrutna)
A ty nie idziesz, o chwilo smutna!
Ażebym moie białe ramiona
Obwiła w koło twoieg szyi łona.
Za nic masz srogi moię urodę,
I nie wyskąkasz iak cielę młodę,
Spiy tu więc, a ia idąc w mą grotę,
Niosę ze sobą żal i tęsknotę.

Odeszły więc okrutne, a po chwili małey
Jeszcze się raz szyderskim śmiechem odezwały.
Niech zwierzęta ostremi rozszarpią mnie szpony,
Jeżli kiedy przed iey dom wrócę utęskniony.

Idź tańcuy z twym koziołkiem, (rzekł Faunus
ıozśmiany,
A zapomniey kochania, gdyś nie iest kochany
Idź wyrzniy twoy przypadek na dębowey ſkorze,
Może komu, lecz wątpię, twa szkoda pomoże.



SIE-

SIELANKA XXIV.

MOCNE PRZEDSIĘWZIĘCIE.

Gdzież się więc przedzieracie moie ranne nogi,
Przez te zwikłane ciernie, i zwieszone głogi.
Co za posępna trwoga na tym mieyscu włada?
Rządzi zmysłami memi, do mey duszy wpada.
Sosny smutno obwisłe, dęby rozłożyste
Szerzą nad moią głową sklepienie przeyrzyste!
Czarne gałęzie! co się powoli ruszacie,
Co za [illegible]ną we mnie okropność rzucacie!
Siędę, tak siędę sobie na tym pniu spruchnionym,
Który bluszcz kryie w koło swym liściem zielonym.
Żadna tych dzikich krzewów nie przerzyna droga,
Znać że tu ieszcze ludzka nie postała noga.
Nikt mnie, o nikt nie znaydzie w pośrzod tey gęstwiny,
Oprócz którey szczególnie osobney ptaszyny,
Oprócz pszczół po roślinach i krzakach brzęczących,
Pszczół do bliskiego pniaka miod smaczny znoszących;

Oprócz zefiru, co się w tey pustyni schował,
I nigdy ieszcze pięknych piersi nie całował.
I ty mały strumyku w tym lesie płynący,
Gdzież niesiesz skoczne wały twey wody szumiący,
Przez te korzenie ziemi do koła obrane,
I prze z te gęste krzewy dziko zawikłane;
O poydę śladem którym twoia woda płynie,
Może mnie w dzikszą ieszcze zawiedziesz pustynię.
Niebo! o co za widok oglądam struchlały!
Stoię! stoię nad brzegiem przepaścistey skały!
Z kąd moie przerażone i niepewne oko,
Pogląda na nizinę rozciągłą szeroko.
Siędę na tey w powietrzu zawieszoney skale,
Z którey burzliwy strumień swoie rzuca fale,
I w ciemny gay sosnowy upada z łoskotem,
Równaiącym się bardzo z oddalonym grzmotem;
Smutnie wisi z iey szczytu gęstwina uschniona,
Podobna dzikim włosom na czole Tymona,
Tymona, który żyiąc smutny i osobny,
Nigdy ieszcze nie pieścił dziewczyny nadobney.
Ale znidę z tey skały, i w pustey nizinie
Będę chodził nad rzeką, która po niey płynie.
Witam cię o nizino! i ty ciemny lasku!
Brzegu! chcę się dziś błąkać po twym suchym piasku.

Czarny lesie! o smutku, posępne schronienie,
Stanowię odtąd mieszkać twe ponure cienie.
Byway zdrowa miłości, twa ognista strzała,
Nie będzie iuż moiego serca przeszywała.
Już niechcę więcey kochać: w tym miłym ukryciu,
Pragnę moiego szczęścia w mądrym szukać życiu.
Byway, ah! byway zdrową dziewczyno brunatna!
Który dwa czarne oczy, którey twarz udatna
Rozpaliły w mym sercu miłosne zapały.
Bądź zdrowa; wczoray ieszcze w stroy ubrana biały
Tak skakałaś w koło mnie, iak fale śpienione
Skaczą tu miłym słońca światłem obłyśnione.
I ty także bądź zdrowa, ty blondynko miła!
Twoy mdły wzrok... Ah! częstoś nim me serce
zraniła.
Twe piersi... Ah! tu nawet ich wyobrażenie
Nieraz mi przerwie myśli wyciśnie westchnienie.
Ty poważna Melindo! byway także zdrowa,
Melindo! która chodzisz iak Bogów królowa.
Żegnam, żegnam i ciebie moia Chloe mała!
Któraś nie raz podskokła, i mnie całowała.
W tey tu dzikiey pustyni na zawsze osiędę,
I w wielkich tonąc myślach drwić z miłości będę.

Błąkać się będę w cieniach sklepistego lasku,
I... Lecz... Niebo!.. Co widzę na tym suchym
piasku?
Drżę ah!... stopa dziewczyny!... Jak piękna?
iak mała?
O poważna mądrości! gdzieżeś odleciała?
Chod iey iak był poważny!.. O iak kształtne stopy?
Poydę o lube dziewczę! poydę twemi tropy!
Gdyby mi cię los srogi znaleść nie żałował,
Stokroć bym cię uściskał, stokroć ucałował.
Nie stroń, nie stroń odemnie, o dziewczyno choża!
Lub stroń, iak od Zefiru stroni piękna roża,
Ktòra się od ust iego w inną stronę skłania,
I wnet uśmiechła wraca do ich całowania.

SIELANKA XXV.

PIESN PORANNA.

Witam cię o wczesne dnienie,
Witam poranku zorzysty,
Już biią twoie promienie,
Przez ten gaik rozłożysty.

* * *

Rosa na kwiatach stoiąca,
Woda z skały spadaiąca
Już błyszczą farby pięknemi,
Czarny smutek pierzcha z ziemi.

* * *

Spiący na kwiecistey łące
Rzuca Zefir swoie łoże,
I lecąc z róży na rożę,
Budzi inne ieszcze śpiące.

* * *

Snów znikomych płocha tłuszcza,
Co się równie w nocy roi,
Jak uśmiech w koło ust Chloi,
Już czoła ludzi opuszcza.

* * *

Spieście się Zefiry, śpieście,
Okradniycie z woni roże,
I te na swych skrzydłach nieście,
Nad drzymiącey Chloi łoże.

* * *

Niech się ocknie uderzona
Waszemi lekko powiwy,
Lataycie w koło iey łona,
I w koło twarzy życzliwy.

* * *

Mowcie do ucha rozśmianey:
Że przed wzniściem zorzy raney,
Już nad strumieniem siedziałem,
I do niey czule wzdychałem.

SIELANKA XXVI.

ZIAWIENIE,

DO

CHLOI.

Kiedy wczoray w powietrzu listek róży pływał,
A na ciebie i na mnie swoy zapach wyziwał,
Powiem ci piękna Chloe co mi się ziawiło,
A co tobie oglądać niepodobna było.
Me ręce w koło ciebie na ten czas obwiłem,
I mocniey ci oczyma niż usty mówiłem.
Widziałem (bo Poetom, iako nikt nie przeczy,
Więcey niż innym widzieć pozwolono rzeczy,)
Widziałem ~~na~~ tym listku amora małego,
Zefiry od pszczoł mnieysze, ciągnęły wóz iego.
Mały Bóg tak był piękny, iak twe lube oczy,
Tak swobodny, tak miły, iak twoy śmiech uroczy.
Bieg swoy prosto kierował do twoiego łona,
Tam się wstrzymał gdzie wstążka spina go zielona.

Zefiry na swobodne skoczyły wytchnienie,
Pod bukiet rzucaiący na twe łono cienie.
Mały Bóg wysiadł z wozu i twe piersi obie
Obleciawszy, nakoniec w śrzodku spoczął sobie.
Układł się między niemi, tak układł się mile.
Boże! (westchnąłem cicho) w twey niezmierny sile,
Boże raniący srogo i Bogów i ludzi,
Niechay cię me wzdychanie do litości wzbudzi.
Nikt z śmiertelnych twey mocy nie czuł ze mną rownie,
Nadgrodź mą niespokoyność, nadgrodź me katownie.
Uczyń, uczyń to chętnie, o co dziś cię prosi
Poeta, który zawsze twą potęgę głosi,
Miłość którą mi Chloe, tak tłomaczy iaśnie
Swym wzrokiem, niechay nigdy w iey sercu nie zgaśnie
Jakże łatwo! — O myśli dręcząca nad miarę!
Jakżeby łatwo mogła złamać mi swą wiarę,
Ta która wdzięki swemi, wszystkich serca ciągnie,
Niech, ah! niech prozba moia, swoy skutek osiągnie.

Bóg wsparłszy iednę rękę na twey piersi białey,
W drugiey trzymał łuk spięty i zwycięzkie strzały.

I powiedział te słowa mnie tylko słyszane:
Młodość iey wychowały wdzięki niewidziane,
A każdy z iey powabow, tak piękny tak miły,
Bożki miłości pilnie udoskonaliły;
Jey uśmiech, iey spoyźrzenie, są iak ia zwycięzkie,
Jey żart, nakształt mey strzały, rani serca mężkie;
Kto ią słyszy, ten w słodkie wpada zachwycenie,
Kto widzi, czuie ku niey miłości płomienie.
Z wszystkich śmiertelnych, ciebie iednego wybrała,
Kocha cię, i przysięgam, że ci będzie stała.

Rzekł to mały Amorek, i natychmiast choży
Zerwał się z twego łona, wsiadł na listek roży.
Spieszę, mówił do Knidu, posąg piękney Chloi
Będzie stał w mey świątyni, obok matki moi,
A stateczne w miłości panny i młodzieńce,
Złożą na iey ołtarzu, wite z kwiatow wieńce.

Tu liść róży zerwało lekkie wiatru wienie,
Mnie całego posiadło nieme uniesienie,
Którego ci nie byłem wytłomaczyć w stanie,
Tylko przez czuły uścisk, i mocne wzdychanie

SIELANKA XXVII.

WIOSNA.

Co za przyiemność głosów, co za ton roskoszy?
Zachwyca moię duszę, sen z mych oczu płoszy?
O dni pełne wesela! o chwile radosne!
Widzę w wdzięki młodości ustroioną wiosnę!
Jutrzenka w purpurowe przyodziana szaty,
Prowadzi ią od wschodu, uwieńczoną kwiaty,
Z nią wiedzie miłe żarty, i swobodne śmiechy,
Wiedzie czułą wesołość, niewinne uciechy,
Wiedzie miłość, która się w zwycięztw swych na-
dzieie,
Pogląduiąc na pola i na lasy śmieie.
Chwieie, chwieie wesoła łuk swoy szczerozłoty,
Wstrząsa kołczan, ostremi napełniony groty.
Gracye połączywszy swe ramiona śliczne,
Mnożą o piękna wiosno, twoie grono liczne.
Idziesz, ah! idziesz do nas! o tłuszczo mamiąca!
Na promieniach rzuconych, od rannego słońca.
Mnostwo ptaków czułego pełne uniesienia,
Wita cię na powietrzu przez słodkie nócenia;

Kolą się niecierpliwie z pączków róże młode,
Każde chce ci wprzód oddać zapach i urodę.

Zwiastuią twe przybycie Zefiry swawolne,
Przelatuiąc z pagórków na łąki okolne.
Przechodzą czarne bory i laski przyiemne,
Poglądaią z uśmiechem na te mieysca ciemne,
Gdzie odkryły spoyrzeniom pasterza czułego,
Chardą piękność spiewania słuchaiącą iego,
Lub gdzie uniosłszy szatę tańczącey panience,
Wycisły na iey licach wstydliwe rumieńce.
Rozlatuią się w gaie, rozlatuią w krzewy,
I przez swoie po liściu szmerzące powiewy,
Zwiastuią twoy wrot Nimfom uśpionym z tęsknoty,
I Faunom mieszkaiącym w oddalone groty.
Ci wychodzą z swych iaskin, graią w szałamaie,
I wesołemi krzyki napełniaią gaie.
Naiady swe zamknięte urny otwieraia,
Strumienie przeźroczyste, które z nich puszczaią,
Okryte drzew pobocznych zielonym sklepieniem,
Płyną pomiędzy niemi z swobodnym mruczeniem
A niekiedy z ogromnym upadaią trzaskiem,
Z skał wysokich, i pięknym uwieńczonych laskiem,

Czołgaią się po łąkach, z buyney pysznych trawy,
I tworzą w dolnych gaiach przeyźrzoczyste stawy.
Tam swoie chłodne wody delikatnie wiią
W koło nagich panienek, które w nich się myią.

Witay matko wesela! o wiosno mamiąca!
Panowałaś na ten czas, gdy nasza łódź drząca
Przeszywała gładkiego ieziora krzystały,
Srebrne fale z łoskotem w koło nas skakały,
Zefiry żartobliwe bawiły się z niemi,
Pędząc ich raz do łodzi, drugi raz do ziemi.
W ten czas wyszedłszy na brzeg towarzysze mili,
Waszymeście mnie królem głośno wykrzyknyli,
I w zapędzie wesela które władło wami,
Zwieńczyliście mą głowę winnemi liściami.
I w ten czas wiosna była towarzysze mili,
Gdyśmy szałasz zielony na górze zrobili,
Gdzie w nayczulszey radości zanurzeni cali,
Piliśmy słodkie wino, i pieśni śpiewali.

Spiesz się, śpiesz, piękna wiosno rzuć na łąki kwiaty,
Okryy krzaki i gaie zielonemi szaty,

Omamieni przyszłego wesela nadzieią,
Bachus i Sylen słodko ku tobie się śmieią;
Gdzież bowiem śmiać się można w czulszym unie-
sieniu,
Jak w zielonym gaików rozkwitniętych cieniu.
Gdy Bachus w ich swobodnym okryciu spoczywa,
Często do niego miłość z śmiechami przybywa;
Przybywaią do niego i muzy urodne,
Bo Bachus zawsze lubił śpiewanie swobodne.
Tu Bóg młody w wesołość nadzwyczayną wpada
I swoie dawne dzieła Muzom opowiada;
Spiewa pospołu z niemi, i tak mocno śmieie,
Że się wieniec wiążący iego skronie chwieie.
Wziąwszy w swą drżącą rękę kielich pełny wina,
Głosi iak brunatnego zbił Indyanina;
Jako ieździł z tryumfem, po odległym świecie,
Jak po niezmiernym morzu małe ieszcze dziecie
Płynąc w okręcie zboyców, te łakomstwa syny,
W igraiące z falami zamienił Delfiny;
Jak się girlandy bluszczu, w koło masztow wiły,
Jak na głos iego zdroie wina wytrysnyły.
Tu wypróżniwszy duszkiem kielich wina duży,
Smieie się, i stworzenie opowiada róży.

Chciałem (mówi) uściskać dziewczynę urodną,
Ale ona niechcąc bydź moim chęcią zgodną,
Uchodziła skwapliwie po kwiecistey łące,
A często w tył zwracaiąc swe oczy mamiące,
Na widok mych usterków i mego taczania,
Szyderskie goniącemu słała urągania.
Nigdy, ah mogę przysiądz na styxowe wały
Nigdyby iey me drżące nogi nie dognały,
Gdyby ciernie nad buyne wyniesione kwiaty
Nie schwyciło iey wiatrem pływaiącey szaty.
Widząc to, podwoiłem me kroki skwapliwe,
I z wolna w iey policzki biiąc urodziwe,
Złóż (rzekłem) piękna Nimfo, twoy upor niegrzeczny,
Jestem Bachus, Bóg wina, i młodzieniec wieczny.
Tu skłaniaiąc się Nimfa do mego żądania,
Podała mi twarz swoię do ucałowania.
Nadgradzaiąc posługę cierninie uschniętey,
Dotchnąłem moią laską iey zwikłane pręty,
Kazałem by ie kwiaty natychmiast okryły,
Kwiaty na koło zapach wydaiące miły,
Kwiaty rumieńcom Nimfy podobne w kolorze,
Rzekłem, i zaraz piękne wyniknęły roże.

Pan siedzący spokoynie na poduszcze mchowey,
Słuchał z pilną uwagą, wieści Bachusowey,
Jego na własney ręce położoną głowę
Otaczały na koło gałązki sosnowe.
Nie byłem (rzekł) nie byłem podobnie szczęsliwy?
Zranił mnie, zranił srogo, kupido złośliwy,
I kiedy ukochaną goniłem dziewczynę,
Ona się w moich ręku zamieniła w trzcinę.
Mówiąc to, smutnie topi wźrok swoy zasępiony
W piszczałce, z siedmiu członków kształtnie ułożony,
Potym oczy do pełnego kielicha skłania,
Piie, i czarny smutek z swoiey duszy zgania.

Miłość swoie zwycięstwa głosi okazałe,
Zgięte w swe iarzmo serca pyszne i zuchwałe.
Ah! iakżebym się cieszył, ma brunetko miła,
Gdyby w liczbę swych zwycięztw twe imię włozyła.

SIELANKA XXVIII.

OCZEKIWANIE DAFNY.

Nie! nie przychodzi ieszcze moia Dafne miła,
Coż za przeszkoda dotąd iey kroki spoźniła?
Położę się tym czasem na tey miękiey trawie,
I pi knemi widoki mą nudność zabawię.
Smutny i czarny lesie! co nad gęste krzaki
Rzucasz w powietrze sosen obrosłe orszaki;
Stare dęby! i rzeko co toczysz wspaniale,
Z łona tych gór siwawych, twoie srebrne fale,
Nie waszym dziś widokiem moie oczy bawię,
Przypatruię się raczey pobliski murawie.

Jak wdzięcznie mały zdroiu! twoia woda szmera,
Kiedy się przez okwitłą rzeżuchę przedziera;
Tworzysz w koło iey pieńków błyszczące pierścienie,
I lekkie z nich każdemu zadaiesz wstrząśnienie.
Twoie obydwa brzegi stroi buyna trawa,
Z którey łona powabnych tysiąc kwiatów wstawa,

Te schylaią swe głowy!...Pod ich pstrym pokryciem,
Toczysz wody błyszczące tysiąc farb odbiciem,

Zwróćcie się moie oczy na ten gaik mały,
Tę trawę, co swobodnie zefiry zachwiały;
Co za miła rozmaytość, zdobi iey zielenią,
Dźbła iey Wiatrem wstrząśnione, iedne drugie cienią.
To ziołko rozłożyste gałązki cienkiemi,
Przerzyna gęstą trawę, czołga się po ziemi;
Tamto wynosi głowę zwieńczoną kwiatami,
I mile z swawolnemi igra Zefirami.
Lecz ty fiołku wdzięczny z koloru twoiego,
Ty rzetelny obrazie mędrca prawdziwego.
Wmieszany iesteś skromnie między proste zioła,
A naywonnieyszy zapach rozszerzasz do koła.
Gdy kwiaty bez zapachu, z naierzoną pychą
Wznoszą chardo nad ciebie swoie głowę lichą,
Skrzydłe robaczki w trawie swobodnie się gonią.
Raz w zielonawych cieniach me oczy ich tonią,
Drugi raz ie oglądam wychodzące z cieni,
I roiące się mile do słońca promieni;

Czasem znowu do góry wesoło wzlatuią,
I w błyszczącym powietrzu kupami się snuią.

Cóż za kwiatek pysznemi kolory odziany,
Zda się bydź nad tym zdroiem wiatrem kołysany?
Co za blask? co za świerzość?... Lecz o błędzie
miły!
Zleciał motyl, dźbła trawy lekko się wstrząsnyły,
Co za brzęczący robak w powietrzu się wiie?
Jego obdłużne ciało czarny pancerz kryie,
Wznosząc czerwone skrzydła, zniża się na dzwonki,
I siada obok swoiey podobno małżonki.
Zwolniey strumyku, zwolniey twe chuczne szme-
ranie,
Zwolnyycie i Zefiry wasze mocne wianie.
Myłę się, czy też słyszę ich roskoszne tony!
Spiewaią pewnie, ale nasz słuch iest przytępiony
Nie iest zdatny cieńkiego ich poiąć nócenia,
Równie iak wźrok nikłego ich członków złożenia.
Co za słodkie w koło mnie szeleści brzęczenie,
Co za siła tym kwiatkom zadaie wstrząśnienie?
Czynią to pracowite małych pszczołek roie,
Które preez pomieszkania zostawiwszy swoie,

Wzbudzone przyiemnością wesołey pogody,
Przelatuią okwitłe łąki i ogrody.
W nich zbieraią łup żółty, nim hoynie okryte,
Szypko lecą pomnożyć skarby pospolite.
Każdy z członków ich miasta równą pracę dzieli,
Żaden nie iest próżniakiem z współobywateli:
Lecąc z ziołek na zioła, i z kwiatów na kwiaty,
To kryią w ich kielichach swoy łebek kosmaty,
To natężoną siłą cisną się uparte,
W łono młodziuchnych kwiatów na poły otwarte.
Kwiat rozszerzony gwałtem, na nowo się skleia,
I w swym pączku zamyka małego złodzieia,
Kradnącego mu skarby, które samochcący,
Otworzy iutro słońcu i rosie błyszczącey.

Na wzniosłey koniczynie mały motel siada,
I swoie pstre skrzydełka zwiia i rozkłada,
Ich dno srebrzyste, cętki purpurowe cienią,
Na brzegach pąsmo złote kończy się zielenią;
Siedzi spokoynie, szatą okryty wspaniałą,
Stroi bukiet pior srebrnych iego głowę małą.
Schyl kwiat, śliczny motylu! nad bierzącą wodę,
I zobacz w iey krzystałach twą piękną urodę,

Będziesz w ten czas przyiemney Belindzie podobny,
Która w zwierciadło wzrok swoy wlepiwszy nadobny,
Zapomina roskosznym zmamiona weselem,
Że ma bydź czymsiś więcey niżeli motelem.
Nie Tak piękna ią szata, iako ciebie stròi,
Lecz iey głowa zupełnie wyrównywa twoi.

Co za dziką Zefiry wszczynacie zabawę,
Gonicie się swowolnie, i wzburzacie trawę;
Mierzwicie iey wierzchołki tak zupełnie wcale,
Jak gdy na gładkim stawie wznosi wietrzyk fale.
Wzlatuią na powietrze robaczki spłoszone,
I patrzą z góry na swe mieszkania wzburzone,
Wreszcie płocha Zefirów swawola ustawa,
Powstaią piękne kwiaty, podnosi się trawa,
I swych drobnych mieszkańców rozpruszone zgraie,
Na swoie dawne mieysca przyzywać się zdaie.

Mogłżebym się utaić, o skryycie mnie kwiaty,
Idzie młody Hiacynt w złote stroyny szaty,
Z ust swoich nie troskliwe wypuszcza gwizdanie,
Idzie mimo natury, i nie patrzy na nie;

Próżno ta iego oczom podobać się stara,
Jest to dla iego serca piękność nadto stara.
Do piękney Henryetty iego kroki śpieszą,
Tam zastanie graiącą przy stoliku rzeszą;
Rzeszą wybor pięknego składaiącą świata,
Którą mocniey zachwyci iego pyszna szata,
Szata nayświeższym gustem powabniey zrobiona,
Niż pięknego wieczora goreiąca łona;
Smiałby się gdyby widział, że czas marnie trawie,
Czołgaiąc się z robactwem po nikczemney trawie.
Lecz darui to prostocie Hiacyncie moi,
Żem nie spoyźrzał na szatę co cię pysznie stroi,
Utopiłem me oczy w małeńkim robaczku,
Co wlecze drzące kroki po zielonym krzaczku.
Jego skrzydła błyszczącą okryte zielenią,
Farbami żywey tęczy przyiemnie się mienią.
Daruy o Hiacyncie! daruy to naturze,
Że robaczka podłego w swey drobney posturze,
W pięknieysze bez zrównania odzienie ubrała,
Niżli dać tobie może, moc przemysłu cała,
Tobie co z wysokiego nadęty rozumu,
Masz sumnienie i Boga za przesądy tłumu.

Ale widzę nakoniec, o miły widoku!
Widzę mą piękną Dafnę, lecę do iey boku.
Porzucam was robaczki i trawniczku miły,
Nie raz mnie iednak ieszcze będziecie bawiły;
Nie raz ieszcze po przykrych mego stanu trudach,
Szukać będę rozrywki w przyrodzenia cudach,
I zważać w iak tu ścisłym łączą się sposobie,
Ozdoba pożytkowi, pożytek ozdobie.

Lecz iuż nadchodzi Dafne, iey zielona szata,
Na swobodnych Zefirach tu i owdzie lata.
Z iakim do mnie pośpiechem uśmiechniona kroczy,
O iak miły iey uśmiech! o iak piękne oczy!
Ale te piękne oczy, i ten uśmiech miły,
Niczby zupełnie w moich oczach nie ważyły,
Gdyby się doskonale w nich nie malowały
Czucia pięknego serca i duszy wspaniałey.

SIELANKA XXIX.

ŻĄDANIE.

Gdyby kiedy twardego wyrok przeznaczenia,
Pozwolił mi oglądac cel mego życzenia,
Bo me chęci są tylko snem łudzącym miło,
Budzę się, i nie pomnę co mi się marzyło;
Gdybym więc mogł otrzymać cel mego żądania,
Nie pragnąłbym dostatków, ani panowania,
Nie żądałbym ambitnie aby ziemia cała,
Chwałą imienia mego na około brzmiała.
Ah! mogłżebym nieznany, spokoyny ukryty,
Żyć daleko od burzy w miastach pospolity,
Gdzie zdrada tysiąc sideł prostym sercom stawia,
Gdzie zwyczay upoważnia naygłupsze bezprawia;
Ah! mogłżebym na łonie oddaloney wioski,
Pędzić żywot czarnemi nie burzony troski,
Mogłażby mnie skryć chatka i ogródek mały,
Przed sztychami zazdrości, przed natręctwem chwały.

Sciany moiey osobney i prostey dziedziny,
Okrywałyby krzaki cienistey leszczyny.

Pod mym oknem przybytek obrałyby wieczny
Słodki zefir, chłód świeży, i pokoy stateczny.
Na wniściu do mey chatki za zielonym płotem,
Płynąłby mały strumień z przyiemnym łoskotem,
W iego wodzie cienistym bluszczm obrośnięty,
Bawiłaby się kaczka, z drobnemi kaczęty.
Nie raz by na brzeg iego gołębie zleciały,
I swoią złotą szyią w trawniku błyskały.
A tym czasem poważnie kur maiestatyczny,
Prowadziłby za sobą dwór kokoszów liczny;
Zbiegałaby się do mnie rzesza zawołana,
I z wdzięcznością karm brała z rąk swoiego pana.

Na koło rozległych drzew stałyby orszaki,
Pod których gęstym liściem mieszkałyby ptaki,
Te na wzniosłych wierzchołkach miłeby nóciły,
I nócaniem na drzewo z drzewa się wabiły.
Na boku wśrzód wesoło rozkwitnionych ziołek,
Stałyby liczne ule pracowitych pszczołek,
Pszczołek, co plastry słodkiey składaiąc patoki,
Daią i plon kosztowny i miłe widoki.
A ieżeli iest prawda co od ziemian słyszę,
Że pszczoły lubią pokoy i miłe zacisze,

O

O gdzieżby w przyiemnieyszey mieszkały swobodzie,
Jak w moiey oddaloney i cichey zagrodzie.
W tyle moiego domu, w płaszczyźnie niezmierney,
Rozciągałby się ogród piękny i obszerny,
W którym sztuka przez swoie proste rozrządzenia
Wspierałaby pięknego grymas przyrodzenia,
Nie gięła niechętnego do swych dzikich wzorów,
Nie szpeciła stawianiem śmiesznych dziwotworów,
Grodziłyby orzechy iego cztery ściany,
W rogach stałyby z bluszczu zielone altany;
W nich spoczywaiąc mile w gorące upały,
Patrzyłbym iak ogrodnik od słońca sczerniały,
Przewraca oschłą ziemię silnemi rękami,
Ażeby ią smacznemi zasiał iarzynami;
Często przykładem iego do pracy wzbudzony,
Brałbym mu z rąk łopatę i kopał zagony,
Stoiąc przy moim boku ogrodnik spotniały,
Smiałby się krotofilnie z moiey siły małey;
Wspierałbym go w wiązaniu na ogrubne pniaczki
Nachylone ku ziemi młodych drzewek krzaczki;
Wspólnie z nim układałbym w wabne okru szyki
Narcysy, tulipany, lilie gwoździki.

Zewnątrz mego ogrodu po okwitłey łące,
Toczyłby czysty strumień swe fale szumiące,
Ztąd przenosiłby mile swoię krętą wodę,
Między rodzayne drzewa i ich szczepy młode;
W łonie gaiku tego między piękną trawkę,
Zebrałbym iego płyny w nie wielką sadzawkę;
Z iey wod wysepka by się wynosiła mała,
Na wysepce altana kryta liściem stała.
Gdybym ieszcze na bliskiey miał winnicę gorze,
I oglądał zierniste na mey roli zboże,
W ten czas Monarcha liczne dziedziczący włości,
Czyliż zrównany ze mną wartałby zazdrości?

Zdaleka, o z daleka niech od chatki moi!
Poważnego Doranta wieyski dworek stoi,
Gdzie on się w pewne chwile w tym zamiarze schrania,
By ciągnął bez przeszkody ważne obcowania.
Tam można się dowiedzieć, że w tey pewnie chwili,
Nie będą krwawey woyny Francuzi toczyli,
I co czyniłby Mopsus, gdyby losu wola
Wyniosła go na godność Angielskiego Króla.

Tam obsiadłszy panicze stół dobrze nakryty
Sądzą o wadach naszey rzeczypospolitey:
Rozprawiaią o kunsztach, o xięgach, o szkołach,
Wisi pyszna powaga na ich pustych czołach.
Niech z daleka od mego spokoynego konta,
Żyiącego w miękkości dom stoi Oronta,
Którego ten iest zaszczyt, tą praca iedyna,
Zbierać do swey piwnicy z obcych kraiow wina.
Jeżli dla niego powab ma natura iaki,
To z tąd tylko iedynie że łepskie przysmaki,
To lataią w powietrzu, to pływaią w wodzic,
To biegaią po lasach, to rosną w ogrodzie;
Spieszy na wieś dla tego, ażeby do woli
Mogł używać roskoszy i tonąć w swawoli.
O iak mu iest nie miło żyć w przeklętym mieście,
Gdzie wszystko co kto czyni, śledzi głupców dwieście.
Niech nigdy twe ustronie dnia niema takiego,
W którymbyś w towarzystwic siebie miał samego,
Nie mogłbyś go wytrzymać i może niechcący,
Rzuciłbyś kiedy na się wzrok twoy katuiący;
Lecz nie boy się, natychmiast śpienione rumaki,
Przyniosą pod twe okno opasłe próżniaki;

Ci zsiadaią z swych koni z przeklęstwy dzikiemi,
Burza, łoskot, szaleństwo, idą za stół z niemi:
Smieią się chuczą, swarzą, piiaństwo bezwładne
Kończy wreszcie te sceny dzikie i szkaradne.
Niechay będzie z daleka me lube ustronie,
I od twego sąsiedztwa głodny Harpagonie,
Którego drzwi pilnuią sobaki zgłodzone,
Sobaki pracą nędznych rolników żywione:
Twoy uciśniony dłużnik oczy łzami rosi,
Rzadko z twego komina dym się cieńki wznosi.
Nie słusznaż abyś głodem dręczony był srogim,
Gdyś wydarł twe bogactwa spłakanym ubogim.

Ale gdzież czarny smutek myśl moią porywa,
Powróć, o powróć do mnie pogodo życzliwa,
Zlećcie z mego umysłu katuiące troski,
Zostawcie mnie na łonie mey przyiemney wioski.
Sąsiad moy będzie pilnie przy prostym warsztacie
Pracował w swoiey dymem okopconey chacie;
Szczere przyiaźni rady, wzaiemne wspieranie,
Wzbudzą w nas czuły uśmich na każde spotkanie,
Bo czyliż większe szczęście na ziemi iest znanym,
Jak od cnotliwych ludzi szczerze bydź kochanym.

O iakże to iest słodko! o iakże iest miło!
Mówić z tym, któremu się dobrze uczyniło.

Gdy niespokoyny łoskot i burza głusząca,
Mieszkańcowi miast wielkich sen słodki wytrąca,
Gdy pobliskich pałaców wyniesione mury
Kryią przed nim naymilsze piękności natury,
Gdy iego zamkniętemu, w szczupłey izbie oku,
Bronią ranney iutrzenki wdzięcznego widoku,
Moie pełne swobodnych wyobrażeń spanie,
Przerywał ranny wietrzyk, i ptaszków śpiewanie.
Wybiegam przed iutrzenką i na piękney łące
Czerpam sobie z rozkoszą powietrze pachnące,
Lub na wyniosłym wzgórku, przez wdzięczne uba-
cenie,
Rzucaiące mym sercom głoszę uniesienie;
Coż bowiem potężnieysze wzbudza uniesienia,
Nad rzewniące pięknego wdzięki przyrodzenia,
Gdy to zbior swych powabów w odmianach roz-
liczny,
Ubłada nie zrównanie w nieład harmoniczny.
Smieszże zdobić naturę człowieku zuchwały,
Przez kunszta co iey tylko naśladować miały!

Wystawiay labirynty z zielonemi ściany,
Zniżay cis ostrokrężny do wielkości daney,
Posypui czystym piaskiem labiryntu drogi,
By żaden chwast niezwikłał przechodzących nogi,
Ja nad ogrod w porządne ułożony szyki,
Przenoszę wieyską łąkę i gaiczek dziki;
Pomieszanie ich części na pozor nikczemne,
Uięło przyrodzenie w prawidła taiemne
Piękności i porządku, na ktorych widzenie,
Czuie dusza człowieka słodkie uniesienie.

Często także wśrzod nocy przy xiężyca blasku,
Błąkałbym się po polach i po małym lasku,
A w głębokich uwagach zanurzony cały,
Zważałbym układ świata prosty, lecz wspaniały,
Tym czasem nad mą głową w przepaści bez końca,
Swieciłyby niezliczne i światy i słońca.

Nie raz pracowitego zwiedzałbym rolnika,
Który za pługiem idąc wesoło wykrzyka,
Nie raz szedłbym nad zagon do żniwiarzow spie-
sznych,
I słuchałbym ich wieści i żartów uciesznych.

A gdy iesień na drzewa pstre rzuci kolory,
Wstąpiłbym na okryte winnicami góry;
Tam dziewczęta i chłopcy wśrzód miłey swobody
Smieią się i zbieraią dostałe iagody;
Kiedy iuż plon iesieni zebrano bogaty,
Wracaią pracownicy z śpiewaniem do chaty,
Gdzie rozlega się huczne tłokarni stękanie,
Gdzie obfity choć prosty obiad czeka na nie.
Ukoiono głód pierwszy, wesołość prawdziwa,
W śmiech i niewinne żarty mile się wyliwa;
Przyiacielski gospodarz wino w flaszki toczy,
I wszystkich do radości zachęca ochoczy.
W ten czas Gwillelm zagrzany dzielnym duchem wina,
Opowiadać swe Szwabskie podróże zaczyna.
Jako oglądał domy i większe bez miary,
I bez miary pięknieysze niż kościoł u fary;
Jak sześć koni pięknieyszych od młynarza koni,
Które pasać się zwykły na pobliskiey błoni,
Ciągło wielkiego pana w karecie złocistey;
Jak tam noszą kapelusz zielono kończysty.
Tak piękne gada rzeczy iż parobek młody,
Otworzywszy swe usta, i podparłszy brody,

Słucha powieści iego w tak uważney minie,
Iż zapomniałby prawie o swoiey dziewczynie,
Gdyby tą przez nieznaczne na twarzy uczknienie,
Nie przerwała głębokie iego zamyślenie.
Jerzy ze swoiey strony znowu opowiada,
Jako raz ziemny ogień gnał iego sąsiada,
I iakby go był pewnie aż pod rynnę gonił,
Gdyby się był przysięgą wcześnie nie obronił.
Tu wychodzą przed chatę i miłe skakania
Czynią, póki ich północ nie wezwie do spania.

Ale kiedy dni czasem pochmurne i dżdżyste,
Kiedy burzliwa zima i lato ogniste,
Nie dozwolą mi widzieć natury ozdobney,
Na ten czas zamknąłbym się w izdebce osobney;
W ten czas bawiłaby mnie szlachetna gromada,
Która zaszczyt i pychę wszystkich wieków składa
Która w uczone Xięgi swą mądrość wylała.
Gromado wielkomyślna! gromado wspaniała!
Ty wznosisz nasze serce, i umysł zniżony,
Przyprowadzasz do swoiey godności wrodzoney.
Jeden z was mnie nauczy iakie obyczaie,
Jakie natury cuda obce maią kraie.

Drugi odkryie prawa założone światu,
I sprężyny taynego natury warsztatu;
Ten opisze każdego historyią kraiu,
Zaszczyt razem i hańbę ludzkiego rodzaiu;
Ow wystawi mey duszy zacność i istotę,
Tam ten pełną powabów odmaluie cnotę.
W koło mnie będą mędrcy starożytni stali,
I ci co nieśmiertelność śpiewaniem zyskali.
Do prawdziwey piękności ich gościeniec wiedzie,
Lecz nie wielu waży się chodzić po ich śledzie;
Wstępuią weń niktórzy, lecz trudność i praca
Ich niedołężne mózgi natychmiast zawraca,
I ich bezsilne nogi poniewolnie kłoni,
Na drogę płonnych czaczek i kwiatów bez woni.

Często przepisywałbym moie własne pienia,
Złożone to nad brzegiem mrucznego strumienia,
To w zwikłanych przechodach krzewistego lasku,
To w bluszczowey altanie przy Xiężyca blasku.
Częstokroć przeglądaiąc pyszne sztychowania,
Dziwiłbym się iak silnych rąk usiłowania,
Którym przemysł i żywa miłość chawały przedzi,
Wyraziły powaby natury na miedzi;

Często sam na ich drodze kroki czyniąc śmiałe,
Przenosiłbym na płutno iey sceny wspaniałe.

Lubą zaięty pracą, często niespodzianie,
Usłyszałbym burzące do mych drzwi stukanie.
Co by to dla mnie była zą pora wesela,
Uściskać wchodzącego w dom moy przyiaciela,
Tak żądanym widokiem mile uniesiony,
Bieżałbym z otwartemi ścisnąć go ramiony.
Wracaiąc do mey chaty z okolic mamiących],
Spotykałbym przyiacioł przeciw mnie idących.
Tu połączywszy wspólnie kroki towarzyskie,
Szlibyśmy to na łąki, to w gaiki bliskie.
Swobodna poufałość, ufanie wzaiemne,
Przyiacielskie rozmowy, żarciki przyiemne,
Oddaiąc nasze myśli wesołości miłey,
Kilka godzin w iedenby moment obróciły.
Za powrotem w szpalerze, lub w chłodzie altany,
Zastalibyśmy obiad dobrze zgotowany;
Siedlibyśmy do stołu, a prostym potrawom,
Głód i praca byłyby naylepszą przyprawą.
Nie raz także przy bladym Xiężyca promieniu,
Siedząc w drzew rozłożystych migaiącym cieniu,

A ochoty ze skromney nabieraiąc flaszki,
Spiewalibyśmy pieśni, i gadali fraszki.
Nie raz melancholiczne słowika nócenie
Wzbudziłoby w milczących słodkie rozrzewnienie.

Ale o coż za próżne ludzi mnie marzenie?
Od dawna, ah od dawna me wyobrażenie,
Sciga cię o śnie marny! o żądzo znikoma,
Którey nigdy nie spełni fortuna łakoma!
Nigdy nienasycone iest serce człowieka,
Zawsze przybytek szczęścia widziemy zdaleka,
Zawsze ku niemu śpiesznie kroki nasze godzą.
Ale wniście do niego labirynty grodzą;
Wysilamy się próżno na marne wzdychania,
Wytrącaią nam zmyśli nieprawe żądania;
Szczęście którym natura łaskawa obficie,
Posiała z nas każdego w szczególności życie
Cnota! o cnota sama szczęściem iest prawdziwym,
Ten iest u mnie rozumnym, ten u mnie szczęśliwym
Kto przestaie na swoim i kto trwa stateczny,
W mieyscu w którym architekt umieścił go wieczny,
Tak cnoto! w tobie prawe iest uszczęśliwienie,
Ty upiękniasz nayniższe w życiu położenie,

O iak będę szczęśliwym przy dni moich zgonie,
Jeżli życie na twoim przepędziłem łonie
Umrę spokoyny. A wy przyiaciele mili
Będziecie nad mym ciałem łzy czułe ronili.
A ile razy wasze obrócicie kroki,
Na pagórek, gdzie moie leżeć będą zwłoki,
Tyle razy ścisnąwszy dłoń ieden drugiego,
Rzekniecie: ,,Tu popioły leżą poczciwego.
Jego o szczęście własne usiłki stateczne,
Dobry Twórca, przez szczęście dziś nadgradza wieczne.
W krótce złączem nasz popioł do iego popiołu,
W krótce z nim zaczniem szczęścia używać pospołu.
I ty, o i ty także przyiaciołko miła!
Gdy mimo grobu mego będziesz przechodziła,
Gdy uyrzysz kwiatów na nim wyrosznię tych chwianie,
W ten czas niech w oku twoim łza czułości stanie.
A ieżeli mogą kiedy te cienie czci godne,
Zwiedzać te piękne pola, te gaiki chłodne,
W których naysłodsze chwile życia przepędzali,
Oburzać tych, których żyiąc naymocniey kochali.

Często, o bardzo często przyiaciołko miła,
Będzie się dusza moia w koło ciebie wiła;
Często gdy siedząc cicho w mieyscu oddalonym,
Odda się twoie serce czuciom podniesionym,
Lekki wiatr który w ten czas twe lica obwieie,
Niechay słodką okropność w twoię duszę wleie.



SIELANKA XXX.

DAFNE I CHLOE.

DAFNE.

Już się wynosi Xiężyc nad te góry ciemne,
Juś rzuca przez ten gaik swe światło przyiemne,
O iak mnie słodko mami okolica cicha,
Dusza moia w tych mieyscach roskoszą oddycha.
Użyymy ieszcze chwilę tak miłey swobody,
A brat moy zaprowadzi do obory trzody.

CHLOE.

I mnie wszystko w tym mieyscu swobodnie zachwyca,
Wieczorek iest pogodny, piękna okolica.
Bawmy w tym lubym mieyscu chwilkę ieszcze małą.

DAFNE.

Widzisz kochana Chloe pod tą wzniosłą skałą,
Na roskoszney równinie ogród Alexowy,
Poydźmy patrzyć na niego przez płotek różowy;

Żaden w tey całey stronie nie iest mu podobny,
Żaden tak uprawiony, żaden tak ozdobny.

CHLOE.

*P*oydźmy Dafne.

DAFNE

Uprawiać i zdobić ogrody,
Nikt tu nie umie lepiey iak Alexys młody.
Nie prawda Chloe?

CHLOE.

Prawda.

DAFNE.

O mieysce pieszczone!
Jak tu iest wszystko świerze! wszystko rozkwitnione!
Wytryska czysty strumień z wierzchołka tey skały,
I z miłym płynąc mrukiem, zwilża ogród cały.
Na wierzchołku opoki mały szałasz stoi,
Z niego rozległy widok mile oko poi.

CHLOE.

Widzę Dafno w twych chwałach czucia unoszące,
Tak... wszystko co tu widzim wszystko iest mamiące.

Podobnego ogrodu nie masz w naszey stronie,
Tu kwiaty przyiemnieyszą wypuszczaią wonie,
Tu swobodnieyszą żywość szczepy maią młode,
Tu strumień miley mruczy i ma świeższą wode.

DAFNE.

Ale ty się uśmiechasz!

CHLOE.

Nie Dafne kochana,
Patrz ta róża dopiero odemnie zerwana,
Nie przenosisz pięknością wszystkie w świecie roże?
Od miłości sadzona, czyż milszą bydź może?

DAFNE.

Chloe!

CHLOE.

Na coż przyduszasz to czułe westchnienie,
Które wydaie mocne twego łona drzenie.

DAFNE.

Odeydźmy z tego mieysca, odeydźmy złośliwa!

CHLOE.

Tak prędko? mnie tu wszystko swobodnie porywa

Wszystko na co poglądam zabawia mnie mile,
Nie poydę, i tu ieszcze zostanę na chwile.
Lecz słuchay!... Ot szmer inny od szmerania zdroiu.
Skryimy się pod tym krzakiem gęstego powoiu,
Żadne nas w iego cieniu oko nie wyśledzi.
Ale widzisz! wszak to tam sam Alexy siedzi.
Szepniy mi teraz w ucho, czy Alexys młody,
Nie przedzi wszystkich innych w powabach urody?

DAFNE.

Ah! puść mnie!

CHLOE.

O nie puszczę, ot myśli! ot wzdycha!
Zapewne nieboraka miłość dręczy cicha,
Którąś w nim pastereczka wznieciła płomienie;
Lecz coż to? czuię mocne w twoiey ręce drzenie,
Nie boy się moie dziecię, wszak tu nie masz wilka,
Lecz siądźmy pod tym krzakiem na momentów kilka.
Siadły, a pasterz który nic się nie spodziewał,
Podniosł głos swoy przyiemny i w tych tonach śpiewał:

O ty co bladym rzucasz promieniem
Xiężycu! słuchay mego wzdychania.
Gaiu! o mieysce ptaków śpiewania,
Wzdychay dziś ze mną Dafny imieniem.

Kwiaty na koło zapach szerzące,
Jesteście teraz rosą skropione,
A moie lica od smutku schnące,
Łzami miłości są umoczone.
Gdybyż się moia dusza żałosna,
Odezwać do niey kiedy ważyła!
Dafne! ty bardziey iesteś mi miła,
Niżeli pszczole swobodna wiosna!

Wczoray przy czystym stoiąc strumieniu,
Czerpała wodę w dzbanek cieżący.
„*Poniosę* za cię„ rzekłem wpół drzący,
Ten dzban zaduży twemu ramieniu,
„Jakżeś ty dobry„ Odpowiedziała,
I do niesienia dzban mi podała.
Wlepiwszy w ziemię oczy żałosne,
Obok niey z trwogą postępowałem,
A boiazliwy rzec iey nie śmiałem,
Dafne! kocham cię mocniey niżli pszczoła wiosnę.
Schyliłeś głowę narcysie słaby,
Widział cię rannek w świerzości całey,
Teraz przyiemne twoie powaby,
Zgasły zwiędniały.

Tak młodość moia pewnie zwiędnieie,
Jeżeli stracę Dafny nadzieie.
W ten czas zgryzota i udręczenie,
Wszelką z mey duszy radość wyżenie;
W ten czas o ziołka, o wonne kwiecie,
Wy słodkie cele mego starania,
Obrane z pieczy i podlewania,
Marnie zginiecie.

W ten czas i kąkol i zielska marne,
Swe dzikie pręty po was rozwiią,
W ten czas i osty i ciernie czarne,
Smutnie was swoim cieniem okryią.
Drzewa! o dzieło mego sadzenia,
I wy iagody rodzące krzaki,
Smutnie odarte z swego odzienia,
Wzniesiecie w górę swe suche pniaki,
Ja w ustawicznym żyiąc zmartwieniu,
Zakończę życie w łzach i ięczeniu.

Kiedy nakoniec w mieszkaniu ziemnym,
Moie ostygłe spoczną popioły,
Ty z mężem bardziey niż ia przyiemnym:
Pędź wiek wesoły.

Czarne rozpaczy wyobrażenie!
Dla czegoż niesiesz w mą duszę trwogę?
Jeszcze nadziei widzę promienie,
Jeszcze szczęśliwym bydź mogę.
Czyż ona wdzięcznie się nie uśmiecha,
Kiedy koło niey zwolna przechodzę,
Jey uśmiech miła dla mnie pociecha,
Którą mą smutną troskliwość słodzę.
Wczoray usiadłszy na wzgórku małem,
Przyiemne piosnki na fletni grałem,
Gdy ona idąc po bliskiey łące,
Zwolniła kroki śpieszno bieżące,
Usta zdrętwiałe, palce omdlone,
Dawały tony źle połączone.
Dafne, atoli kroki wstrzymała,
I mnie słuchała.

Jeżli zaś kiedy dożyię chwili,
W którey ią wwiodę w te miłe cienie,
Kwiatki! o w ten czas pachniycie milii,
W ten czas pysznieysze weźcie odzienie;
W ten azas, o i wy drzewa cieniste,
Zniżcie owoce do niey soczyste.

Tak śpiewał... Dafne mocne wydała westchnienie
I uczuła w swey ręce bardzo mocne drzenie.
„Ciesz się młody Alexie (Chloe zawołała)
Dafne równie ku tobie, iak ty ku niey pała,
Spiesz się, i przez całowania natychmiast gorące,
Zbierz łzy czułey radości, iey lica rosące
Alexys drżącym krokiem nie bawnie przybywa,
Dafne na łonie Chloi zwieszona, wstydliwa,
Odkryła mu nakoniec swe czyste płomienie.
Ktoż wyrazić oboyga zdoła uniesienie !

SIELANKA XXXI.

ŻEGLUGA.

Już, o iuż okręt z szypkością bieży,
Co piękną Dafne w kray obcy niesie.
Ah! niech koło niey sam Zefir świerzy,
Z Bożki miłości mile wiie się.

* * *

Fale igrzysko z wiatry czyniące,
Biegaycie w koło okrętu skromnie,
Bo gdy w was wlepi oczy mamiące,
Myśli, o myśli na ten czas o mnie.

* * *

Ptaki w nadbrzeznych gaiach schowane,
Niech tobie samey swe nócą pienia,
Trzciny i krzaki od wiatrów chwiane,
Niechay cię wabią do swego cienia.

* * *

Morze! o niechay twa czysta woda,
W czasie iey drogi spokoynie stoi,
Słońce odbite z powierzchni twoi,]
Nie tak iest czyste iak iey uroda.

* * *

Nigdy, o nigdy Wenus nie była tak miłą,
Gdy przeszła w srebrną konchę z piany morza białey,
Trytony omamione iey urody siłą,
Igrzysk i Nimf zwieńczonych trzciną zapomniały.

* * *

Nie uważały więcey w twarzach Nimf zazdrosnych
Ni wabiących uśmiechnień, ni spoyrzeń ukosnych;
Lecz w słodkim zachwyceniu mile utopieni,
Szli wzrokiem za Boginią do nadbrzeżnych cieni.

SIELANKA XXXII.

GWOŹDZIK.

Gdy raz Doryda po rannym chłodzie,
Przechodziła się w swoim ogrodzie,
Zoczyła gwoździk świerzo wykłuty,
Żywych kolorów w cętki osuty.
Wnet swoie kroki zastanowiła,
I twarz ku niemu piękną zniżyła,
Węch iey zapachu kwiatka kosztował,
Kwiatek ią w śliczne usta całował.
Gdy na ten widok patrzyłem miły,
Lica się moie zarumieniły,
Westchnąłem czule, i naostatek
Rzekłem: o gdybym tak iak ten kwiatek,
Całował kiedy iey lica białe,
Kolorem wstydu zarumieniałe!
Dorys odeszła, a ia bez zwłoki,
Moie ku kwiatku zwróciłem kroki,
I rzekłem: urwęż ten gwoździk miły,
Który iey śliczne usta dotchnyły?
O! nie tak ziołkom rosa iest miła,
Jakby mi iego wonność pachnyła.

Rze-

Rzekłem te słowa, i iuż z zapałem,
Moią do kwiatka rękę ściągałem,
Gdy pomyśliłem nagle wstrzymany:
Tenże dotydzie gwoździk kochany,
Mam zepsuć?... O nie... Niechay go ona,
Przypnie do swego białego łona,
Niechay się zapach z niego wylany,
Tak wznosi do iey nadobney twarzy,
Jak dym bogini wdzięków oddany,
Wznosi się w Olimp z świętych ołtarzy.



SIELANKA XXXIII.

KLIMENA DAMON.

czyli

Wspomnienie zabaw dziecinnych.

KLIMENA.

Coż znaczy ten Ołtarzyk? moy kochanku miły?
Komuż będą się na nim kadzidła paliły?

DAMON.

Czyliż nie znasz kochanko przyiemney swobody,
Wiążącey mnie do brzegów tey spokoyney wody.
Nie pomniż że w dziecinstwie to miłe ustronie,
Chowało nas na swoim rozkwitnionym łonie,
Nie byliśmy wyższemi nad ten chróścik mały,
W ten czas z szypkością nasze godziny leciały,
Bawiły nas przyiemnie igraszki dziecinne.
Na tym ołtarzu chołdy odbierze powinne
Bóg czułości, bo w ten czas, o słodkie wspomnienie!
Rozżarzył w sercach naszych wząiemne płomieni

KLIMENA.

To naysłodsze wspomnienie, i mnie dotąd mami,
Otoczę ten ołtarzyk mirty i różami.
W krótce gęstwina z każdey podniesie się strony,
I utworzy na koło kościołek zielony;
Tu przyydziemy oboie z wdzięczności powinney,
Palić wonne kadzidła miłości niewinney.

DAMON.

Widzisz te gęste krzaki, ich chłodzące cienie,
Dawały nam pod ow czas naymilsze schronienie,
Tyle wznieśliśmy w górę sklepienie ich chrostu,
Ile postać naszego pozwalała wzrostu.
Zakradłszy się między nie swowolny koziołek,
Mógł zepsuć swemi rogi ich gęsty wierzchołek.
Sciany domku składały gałęzie wikliny,
Wniście zamykał płotek ugrodzony z trzciny,
W tych cieniach siedząc sobie i bawiąc się mile,
O iak słodkie kochanko spędzaliśmi chwile!

KLIMENA.

W tyle domku ogrodek założyłam mały,
Obwód iego sitowia krżaczki ogradzały.

Tak wielkim był ten płotek że owca zgłodniała,
W iednym by go zapewne momencie schrostała.

D A M O M.

W domu, w ktorym iest wszystko a na dziatkach zbywa,
Czyliż błogosławieństwo nieba odpoczywa?
Raz znalazłaś miłości obrazeczek mały,
Twe go ręce nosiły, usta całowały.
Jego kolebką była z orzechu łupina,
Chuśtałaś go śpiewaiąc, iak własnego syna.

K L I M E N A.

Prawda; i ten Bóg nasze znaiący żądania,
Nadgrodzi ich spełnieniem te wszystkie starania.

D A M O N.

Raz z sitowia malenką klatkę udziałałem,
Zamknąłem w niey konika, i w prezent ci dałem;
Ty chcąc się z nim pobawić, z klatkiś go dostała,
I gdyś go w twoiey ręce ostrożnie trzymała,
Wydzieraiąc się gwałtem to stworzenie biędne,
Zostawiło w twych palcach swoią nogę iedne.

Konik drzący z boleści srogiego przypadku
Przyczepił się do pieńka pobliskiego kwiatku.
Spoyrzey (rzekłaś) ah! spoyrzey iak ten ptaszek mały,
Srogą cierpi męczarnię, i drga z bolu cały.
Ty znosisz przykre bole o ptaszku ubogi,
A ia iestem przyczyną twoiey męki srogi.
Płakałaś, a mnie czucie przeięło radosne,
Patrząc na twoie serce czułe i litosne.

KLIMENA.

Twe serce bardziey mi się zdało bydź wspaniałe,
Gdy brat twoy wybrał z gniazda dwie czeczotki małe.
Day mi te małe ptaszki, mówiłeś do niego,
Lecz on niechciał się skłonić do żądania twego.
Dam ci (rzekłeś mu) ten kiy sztucznie obwinięty,
Brunatną w koło skórką, i świeżemi pręty.
Brat skłonił się bez zwłoki na twoie podanie,
Przyiął laskę od ciebie, dał ci ptaszki za nie.
Ty się nad nędznym piskląt losem użaliłeś,
I wpiąwszy się na drzewo w gniazdo ie włożyłeś.
Patrzyłam rozrzewniona na ten widok miły,
I łzy słodkiey radości twarz moię skropiły.

A gdybym wprzód ku tobie miłości nie miała,
Pewniebym cię od tego czasu pokochała.

DAMON.

Często w zabawkach biorąc postać uroioną,
Ja byłem twoim mężem, a ty moią żoną.

KLIMENA.

Na każde tych roskosznych zabawek wspomnienie,
Czuć będę aż do zgonu słodkie uniesienie.

DAMON.

Ah! byłyby szczęśliwe dni naszych ostatki,
Gdyby Himen podług twey przyrzeczenia matki,
Uzupełnił przed nowiem te żarty dziecinne.

KLIMENA.

Jeżeli niebo łaskawe, niebo dobroczynne,
Da nam błogosławieństwo i opiekę swoie,
Nayszczęśliwsi z żyiących będziemy oboie.

SIELANKA XXXIV.

PORANEK JESIENNY.

Już słońce gór wyniosłych wierzchy pozłacało,
I przyiemną pogodę mile zwiastowało,
Gdy Milon stanął w oknie swoiego mieszkania:
Latorośle niosace źrzałe winogrania,
Latorośle obwisłe, które iuż iuż mienią,
Na purpurę i żółtość wiosienną zielenią;
Latorośle porannym wietrzykiem wstrząśnione,
Cmiły cokolwiek światło od słońca rzucone.
Niebo było na koło pogodne i czyste,
Niziny nakształt morza kryły pary mgliste,
A wyniosłe pagóry i dymiące chaty,
I drzewa które kryły pstre iesieni szaty,
Obłyśnione przez słońca pogodnego zorze,
Nakształt wysp wznosiły się nad to wielkie morze.
Milon naywdzięcznieyszego pełen upoienia,
Przenosił po rozległych błoniach swe spoyrzenia,

I słyszał raz z daleka, drugi raz bliżey,
To beczenie baranów, to fletnie pastyrzy,
To chrapliwe ryczenie swawolnych buiaków,
To swobodne kwilenie szczebioczących ptaków,
Które raz się goniły po powietrzu czystym,
A drugi raz topiły w Oceanie mglistym.
Omamiony tym wszystkim, długo stał iak wryty,
Ale nakoniec świętym płomieniem przeszyty,
Wziął w swe ręce na ścianie zawieszoną lirę,
I tak oddał swych czuciów tłomaczenie szczyre.

Ah! mogłżebym mą wdzięczność, moie uniesienie,
Przez godne was Bogowie! wytłomaczyć pienie!
Natura dziś w swey całey piękności iaśnieie,
I obfite bogactwa z rozrzutnością leie;
Na około panuią radość i uciecha,
Szczęście roku w winnicach mile się uśmiecha:
O iakże iest przyiemne, to całe ustronie,
Jak rozmayte w swych farbach, te rozległe błonie.

Szczęśliwy, o szczęśliwy! kto ma serce czyste,
Serce które nie szarpią z gryzoty wieczyste,
Kto na swoim przestaiąc na cudze niechciwy,
Szuka w dobroczynności roskoszy prawdziwy,

Temu ranna swoboda sen, miły przerywa,
A do trwałey i czystey uciechy go wzywa.
Dni iego są wesołe, a noc swoim mrokiem
Kryie w śnie zgrążonego słodkiem i głębokiem;
Serce iego naysłodszym otwarte wrażeniom,
W cale iest niedostępne srogim udręczeniom.
Rozliczna piękność roku mile go porywa,
I on sam wszystkich skarbów natury używa.

Ale ten iest szczęśliwszy, ten żyie weseli,
Kto swoich dni swobodę z towarzyską dzieli,
Którą wdzięki i cnota zarównie krztałciły,
Z towarzyską podobną moiey Dafnie miłey.
Odkąd nas obiął Himen pod swe słodkie prawa,
Odtąd każda uciecha milszą mi się zdawa,
A dni naszego życia czyste i pogodne,
Są od tego momentu iak dwie fletnie zgodne,
Których tony z sobą się harmonicznie znoszą,
I słuchaiących miłą przeymuią roskoszą.
Czyliż kiedy me oczy odkryły pragnienie,
Na którego byś zaraz nie biegła spełnienie;
Czyż kiedy szczęścia serce kosztowało moie,
Któregoby mi szczęście nie zwiększyło twoie.

Jeźli mnie kiedy gnała między twe ramiona
Zgryzota, to natychmiast była rozproszona,
Rozproszona od ciebie moia Dafno droga,
Jak od promieni słońca wiosienna srożoga.
Tak iest, w dniu gdy za moię poiąłem cię żonę,
Widziałem wszystkie życia powaby złączone,
Twoim śladem w moy domek wlatuiące mały,
Ażeby w nim na zawsze wraz z tobą mieszkały.
Porządek, ochędostwo, wesołość, odwaga,
Towarzyszą twey pracy, a Bóg iey pomaga.

Odkąd mym iesteś szczęściem, o Dafno cnotliwa!
Wszystko nowych powabów w mych oczach nabywa,
A w polach, łąkach, sadach, chacie i oborze,
Wszędzie błogosławieństwo odpoczywa Boże:
Każda dla mnie robota iest roskoszą nową,
A kiedy w wieczer pracą zmordowany dniową,
Wchodzę pod tę spokoyną dla wytchnięcia strzechę,
Jak dzielną w twey czułości znayduię pociechę.
Wiosna, co ziemie w postać ubiera zieloną,
Wiosną zda się w mych oczach bardziey uśmiech-
nioną.
Lato i iesień dla mnie bardziey są bogate,
A gdy zima na nasze sypie śniegi chatę,

Na ten czas u kominka przy twym siedząc boku,
Słodkiego w twych rozmowach kosztuię uroku.
Niechay świat burznych wichrów pustoszy swawola,
Niechay śnieg skryie wszystkie przed mym okiem
pola,
Zamknięty razem z tobą, w tey fataluey dobie,
Tym ieszcze mocniey czuię, że mam wszystko w tobie.
Szczęścia mego wy lube dopełniacie dziatki,
Wy co wszystkie powaby waszey maiąc matki,
Naypięknieysze na przyszłość daiecie nadzieie,
Niechay niebo swe łaski, choynie na was leie.
Pierwszy wyraz który z iey starania umiecie,
Jest roskoszne wyznanie, że mnie miłuiecie.
W twarzy waszey osiadły, wesołość i zdrowie,
W oczach panuie słodycz, a niewinność w mowie;
Miłą iesteście moiey roskoszą młodości,
Szczęście wasze mey będzie podporą starości.
Gdy mnie wracaiącego z pola, lub od trzody
Witacie z wesołością, na wniściu zagrody,
Gdy mocno przyczepione do moich goleni,
Odbieracie radością czułą uniesieni,
Z rąk moich w podarunek owoce dostałe,
Albo radła, motyki, i łopaty małe,

Które strużę, by do prac wasze wprawić ręce,
O iak mnie bawi wasze wesele dziecięce.
W tym słodkim upoieniu Dafno ulubiona,
Lecę pomiędzy twoie otwarte ramiona,
Z iak miłym wdziękiem twoie całunki urocze
Zbieraią łzy któremi moie lica broczę.

Kiedy tak Milon w słodkim śpiewał uniesieniu,
Weszła Dafne, niosąca na każdym ramieniu
Dziecię piękne iak Anioł. Poranek różany,
Kroplami zyzney rosy, obficie polany,
Mniey iest miły niż Dafne we łzy rozpłyniona.
Kochany przyiacielu! (rzekła rozrzewniona)
Jestem, o iestem przez twe szczęśliwą kochanie,
Przychodzę z dziećmi temi, dziękować ci za nie.

Objął ich w swe ramiona, wszyscy milcząc stali,
A w milczeniu roskoszy słodkiey kosztowali,
Każdy zaś z patrzaiących na tę scenę tkliwą
Czułby w gruncie, że cnota sama iest szczęśliwą.

SIELANKA XXXV.

SLUB.

Pozwolcie Nimfy kochane!
By woda waszego stoku,
Obmyła tę srogą ranę,
Którą widzicie w mym boku.

* * *

Oby wasza była woda
Zbawienną dla mego ciała!
Wszak nie gniew, ani niezgoda,
Tę krew z żył moich wylała,

* * *

Dziś od wilka napastniony,
Krzyczał Dafnis z całey siły,
A mnie do iego obrony,
Przybydź nieba pozwoliły.

* * *

Kiedy pod razy silnemi,
Mey ręki bestya drgała,
Swoiemi zęby srogiemi
Ranę w mym boku zadała.

* * *

Ah! nie bądźcie zagniewane,
Nie bądźcie Boginie młode!
Jeżli myiąc moię ranę
Zmącę waszą czystą wodę.

* * *

Jutro gdy się na dzień zbierze,
Położę na waszym brzegu,
W błagalney za to ofierze,
Koźlątko bielsze od śniegu.

SIELANKA XXXVI.

ZEFIRY.

PIERWSZY ZEFIR.

Czemu tak próżno latasz nieboże,
I bez przyczyny wstrząsasz te roże;
Leć raczey ze mną na te dolinę,
Na którey gęstą widzisz wiklinę,
Tam w stawie czystą maiącym wodę,
Kąpią się Nimfy piękne i młode.

DRUGI ZEFIR.

Sam sobie leć na płoche z Nimfami igranie,
Mnie tu zatrudnia czulsze staranie;
Zwilżam me skrzydła rosą na kwiatach wiszącą
I zbieram z róży wonię pachniącą.

PIERWSZY ZEFIR.

Czyż było kiedy milsze staranie,
Jak z wesołemi Nimfy igranie?

DRUGI ZEFIR.

Poydzie tą ścieszką panienka młoda,
Którą mamiącą zdobi uroda,
Co dzień na wzniściu iutrzenki ranney,
Niosąc koszyczek napakowany,
W ów dom na górze stoiący idzie,
Cieszyć będących w ostatniey biedzie.
W tey bowiem chacie wdowa przebywa,
Chora, uboga, chociaż poczciwa;
Przy łożu matki dwa dzieci małe,
Ah płakałyby próżno zgłodniałe,
Gdyby Melinda, Melinda miła,
Aniołem stróżem dla nich nie była.
Czuciem wesela zarumieniona,
Łzami czułości, oczy zroszona,
Naysłodszey pełna w sercu pociechy,
Powraca tędy z pod nędzney strzechy.
W krzakach tey róży wyglądam na nię,
I wnet wylece na iey spotkanie.
Wstrząsnę z mych skrzydeł wonię pachniącą,
I ochłodze iey twarz pałaiącą.
Dam całowanie iey pięknym oczom,
Które litości łzy często broczą.

Oto dzisieycze me zatrudnienie.

PIERWSZY ZEFIR.

Wzbudzasz bracie nayczulsze we mnie rozrzewnienie,
Co za przyiemność twego bawidła!
I ia ochłodzę rosą me skrzydła,
I ia z zapachu róże okradnę,
I przed Melindę z tobą wypadnę.
Lecz oto z gaiu wychodzi ona,
Jak piękne rano wypogodzona,
Mile się cnota śmicie w iey twarży,
W oczach swobodna słodycz się żarzy.
Wylećmy bracie na iey spodkanie,
Daymy iey czułe ucałowanie;
Nigdy ieszcze nie obwiał moy powiew chłodzący
Policzków tak rumianych, twarzy tak mamiącey.

SIELANKA XXXVII.

AMINTAS.

Nieśliśmy raz z Likasem dań dla Apollina,
Już nam widzieć się dała wzniesiona rowwina,
Na ktorey kościoł bóstwa cudowney struktury,
Wznosi się z gęstych laurow, pod nieba lazury.
Nasze spoyrzenia z drugiey za kościołem strony,
Gubiły się w płaszczyznie morza niezmierzoney.
Było w ten czas południe i upał zbyt srogi,
Piasek potężnie palił nasze gołe nogi.
Słońce tak prosto na nas rzucało promienie,
Iż kryły nam twarz całą naszych włosow cienie.
Pies gorącem omdlony i wielce dyszący,
Ledwie włokł się w paproci przy drodze rosnącey.
Cichość była głęboka w okolicy całey,
Koniki się i świeszcze czasem odzywały.
Każdy krok wznosił prochy do oczu drgaiących,
I składał ie na ustach od pragnienia schnących.
Szliśmy z wolna spotnieli i znużeni srodze,
Wreszcie kilka drzew rosłych widziemy przy drodze.

Natężamy z pośpiechem nasze drżące kroki,
I znayduiem cień, nocy podobny głębokiey.
Wchodziemy z świętym strachem, pod te rosłe
drzewa,
Lekki lecz chłodny wietrzyk mile nas obwiewa,
Srzodek mieysca okryła murawa zielona,
Murawa świerzym źrzodłem mile odwilżona.
Gałęzie zbogacone darami Pomony,
Zginały się z słodkiemi po nad wodę plony.
Pomiędzy pniami drzewa, rodzayne krzewiny
Stały okryte morwy, pożyczki, maliny.
Z pod grobu, ktory zewsząd bluszcz okrył wiszący,
Wypływał czysty strumień, strumień szeleszczący.
O nieba! zawołałem, te przyiemne cienie,
Jak słodkie w moią duszę niosą rozrzewnienie?
Me serce w choyne dzięki temu się wylewa,
Co osadził w tych piaskach te chłodzące drzewa.
Pod tym głazem, wikliną otoczonym świerzą,
Jego szanowne zwłoki bezwątpienia leżą.
Oto zawołał Likas: przez te zwisłe pręty,
Widzieć się daie napis na skale wyrznięty.
Ten nam pewnie obwieści kto te miłe cienie
Zasadził, na wygodne podrożnych wytchnienie.

Zobaczmy w iakiey treści brzmi iego osnowa,
Uniosł więc laską pretow, i czytał te słowa:

„ Tu cnotliwy Amintas pogrzebiony leży;
Życie iego dobrodzieystw pasmem było wiecznym,
A pragnąc bydź po śmierci nawet pożytecznym,
Sprowadził ten zdroy czysty, wzniosł ten gaik świerzy.

Swięte są twe popioły! o mężu szlachetny!
Niech każdy z twych potomkow wiek ogląda setny,
Niech niebo choyne dary na wszystkich wylewa,
Mówiąc to rzucę okiem między gęste drzewa,
I postrzegam kobietę przyiemney urody,
Niosącą dzban gliniany, idącą do wody.
„ Witam was (powiedziała głosem mile brzmiącem,)
Pewnie tu przed skwarliwem weszliście gorącem,
Pewnie iesteście obcy i w drogę idziecie,
Powiedźcież czyli czego nie potrzebuiecie?
Bóg ci zapłać (mówiłem) kobieto poczciwa.
Na niczym nam, na niczym w tym mieyscu nie zbywa,
Na czymżeby zbywało? źrzodło tu iest czyste,
Cienie miłe chłodzące, owoce soczyste.

Przeymuie nas, przeymuie szacunek głęboki,
Ku temu, którego tu spoczywaią zwłoki;
Jego dłoń dobroczynna dla ludzkiey wygody,
Osadziła drzewami brzeg tey zimney wody.
Jesteś z tey okolicy i pewnieś go znała,
Proszem cię byś nam iego czyny powiedziała.

Tu usiadła kobieta, i wsparta na dzbanie,
Temi słowy zaczęła swe opowiadanie:

„Amintas cel miłości naszego powiatu,
Miał za roskosz czcić Boga, i pomagać bratu.
Jego łagodne cnoty i życie uczynne,
W wszystkich uszanowanie wzbudzaią powinne;
Każdy ogłasza łzami zalany radości,
Dzieła iego dobroci, lub sprawiedliwości.
I ia przezeń zostawszy iego syna żoną,
Jemu winnam że iestem dziś uszczęśliwioną."
Tu swoie oczy łzami czułości zrosiła,
Które otarłszy zaraz tak daley mówiła:
„Oyciec moy zebran z świata z naywyższego woli,
Zostawił mnie i matkę w smutku i niedoli.
Mieliśmy chatkę małą, tam w miłey cichości,
Żyłyśmy z naszey pracy, i z ludzkiey choyności,

Dwie pozostałe kozy, mleko nam dawały,
A owoców dostarczał ogrodeczek mały.
To były nasze skarby. _ Lecz ta cichość miła,
Nie długo przyiemnością swoią nas cieszyła.
Umarła moia matka po krótkiey niemocy,
Zostałam bez pociechy i wszelkiey pomocy,
Amintas wziął mnie w ten czas do swego mieszkania,
Poruczył mi celnieysze domowe starania,
I tak się czule moim opiekował stanem,
Iż był raczey mym oycem, a niżeli panem.
Wierna i poświęcona gospodarstwu cała,
Zasłużyć na te względy, pilniem się starała.
Syn iego naypięknieyszy z pasterzów tey strony,
Został mą usilnością w pracy uderzony.
Pokochał mnie i swoie odkrył mi kochanie,
Rozrzewniło me serce, to iego wyznanie.
Zapomniey twey miłości (mówiłam Damonie,
Ty iesteś naybogatszy w naszey całey stronie,
Ja przeciwnie w ostatniey zrodzona chudobie,
Bardzo będę szczęśliwą, służąc wiecznie tobie;
Często doń te wyrazy mówiłam w szczerości,
On iednak nie zapomniał swey ku mnie miłości.
Gdy iednego poranku na wniściu zagrody,
Gotowałam do grępla wełnę z naszey trzody,

Amintas wszedł, i usiadł przy mnie uśmiechniony,
A długo wźrok trzymaiąc w twarz moię wlepiony,
Moie dziecię (rzekł wreszcie) twa szczera prostota,
Twoia usilność w pracy, twoią skromna cnota,
Obudzaią ku tobie miłość we mnie żywą,
Chcę gdy pozwolą nieba widzieć cię szczęśliwą.
Moim szczęściem iest (rzekłam) winne tobie długi,
Wypłacać dobry panie, przez moie usługi.
Nic więcey nie mówiłam, bo nie miałam siły,
Z moich oczu łzy słodkiey wdzięczności płynyły.
Moie dziecię (rzekł z moich ścieraiąc łzy licow,)
Chciałbym uczcić pamiątkę twych dobrych rodzicow,
Chciałbym, o chciałbym widzieć wspartą starość moię.
Przez szczęście mego syna, i przez szczęście twoie,
On cię kocha. Powiedzmi dziewczyno Cnotliwą!
Czyli miłością iego możesz bydź szczęśliwa?
Tu wypadła robota z mey ręki omdlałey,
Lica moie, rumieńce wstydliwe oblały.
On uiąwszy mą rękę rzekł: Dziewczę cnotliwe,
Miłością mego syna możeż bydż szczęśliwe!
Upadłam do nog iego, twarz moię łzy zlały,
Słowa nie mogł utworzyć, moy ięzyk stretwiały,

I ta naypamiętnieysza w mym życiu godzina,
Zrobiła mnie szczęśliwą żoną iego syna.„
Umilkła, a wnet oczy ocieraiąc sobie,
„ Taki mąż (rzekła) taki, spoczywa w tym grobie.
Lecz chcecie ieszcze wiedzieć, iak ten gai zasadził,
I iak to świerze źrzodło w cień iego sprowadził?
Słuchaycie:
W dniach ostatnich swego życia biegu,
Na tey piaszczystey drogi siadał często brzegu.
Wszystkim podróżnym grzeczne czynił pozdrowienie
Potrzebuiącym miłe dawał zasilenie.
Gdybym tu (rzekł w dniu pewnym) gai piękny zasadził,
Gdybym chłodzący strumień w cień iego sprowadził,
Bardzo trudno w tych mieyscach o cień i o wodę,
Czyniłbym i po śmierci podróżnym wygodę.
Zamiar ten był bez wszelkiey wykonany zwłoki,
Zdroy wody z pod dalekiey sprowadził opoki,
I osadził na brzegach czystego potoku,
Drzewa daiące owoc, w różnych porach roku,
Po czym do Apollina udał się świątyni,
Złożył Bostwu ofiarę, i tę prozbę przy ni:

O Boże racz te drzewka błogosławić młode,
Aby nabożny pielgrzym mógł mieć z nich wygodę.
Stało się: Bóg wypełnił Aminty żądania,
Nazaiutrz rano, okniem swoiego mieszkania,
Zobaczył zamiast drzewek (o dziwne zdarzenie!
Drzewa rosłe i czarne rzucaiące cienie.
O Bogowie! co widzę? zawołał po chwili,
Dzieci moie! czy prawda? czy mnie wzrok moy myli?
Te krzaki które wczora me ręce sadziły,
Już się w drzewa wysokie i mocne zmieniły.
Przeięci świętym strachem poszliśmy do lasku,
Już murawa na suchym rozkwitnęła piasku,
Drzewa czerstwe gałęzie w koło rozkładały,
Ich końce aż do ziemi giął owoc doyrzały.
O cudo! (woła starzec) przy dni mych schyleniu
Jeszcze, ieszcze w tym pięknym chodzić będę cieniu.
Tu za tak choyne ślubów Aminty spełnienie,
Złożyliśmy powinne Bostwu dziękczynienie.
Lecz nie długo, nie długo ten starzec czci godny,
Chodził na odpocznienie w ten gaiczek chłodny.
Zabrały go z pośrzod nas okrutne wyroki,
My zaś w tych cieniach iego złożyliśmy zwłoki.

Aby wszyscy wchodzący w ten gaik wesoły,
Błogosławili iego szanowne popioły.,,

Tu rzekliśmy kobiecie: ,,Ten strumyczek chłodny
Te owoce doyrzałe, ten gaik swobodny,
Bardzo nam są przyiemne, lecz bardziey iest miła
Powieść, którąś o twoim oycu ogłosiła.
Niechay, o niechay niebo wylewa obficie,
Błogosławieństwo swoie, na twe całe życie.,,
Rozrzewnieni wyszliśmy z gaika bez zwłoki,
I nasze do kościoła zwróciliśmy kroki.



SIELANKA XXXVIII.

TYRSYS

czyli

JABŁKA.

Próżno życzliwe Nimfy, (mówił Tyrsys młody)
Próżno w tych cieniach świerze rozszerzacie chłody,
Próżno, ah! próżno pod to zielone sklepienie,
Leiecie z waszych wiader przeyrzyste strumienie,
Me wynędzione ciało, tak smutnie omdliwą,
Jak w upały południa omdlewaią żniwa.

Siadłszy raz pod pagórkiem, na którym dom Chloi
Ocieniony wesołym ogrodeczkiem stoi,
Nóciłem piosnkę czułą: tuż przy moim boku,
Mile szmerała woda czystego potoku,
W iego chłodnych krzystałach, Chloe często myie
Swoie lica różowe, swoie mleczną szyie.

Gdy tak siedzę, w tym nagle mocny grzmot wydały
Drzwi, które do ogródka wniście zamykały,
Wyszła powabna Chloe, iey włosy bladawe
Mierzwiły lekkim wianiem Zefiry ruchawe.
Ah! iakże śliczna była! Wiedney ręce miała
Koszyk, w który owoców pięknych uzbierała.
Drugą ściskała szatą, to łono rosnące,
Które chciały Zefiry odkryć swawolące.
Chociaż bowiem żadnego przy niey świadka niema,
Zawsze nad nią straż pilną, wstyd trwożliwy trzyma.
Szata, którą na ów czas była przyodziana,
Cisła się w skład iey członków, i między kolana,
A razem w gęste fałdy opuszczona w tyle,
Wolnie wiatrem pływaiąc, szeleściła mile.
Gdy Chloe przechodziła szerokość strumyka,
Dwa iey iabłka z pełnego wypadły koszyka,
I właśnie gdyby z samey miłości zrządzenia,
Toczy y się na mieysce moiego siedzenia.
Zbieram ie, i do twarzy wnet przyciskam moi,
Wchodzę na wierzch pagórka, i oddaię Chloi.
Tu uczułem w mey ręce bardzo mocne drzenie,
Chciałem mówić, lecz tylko wydałem westchnienie,
Chloe spuściła oczy, wstydem się zalała,
I uśmiechniona, iabłko naylepsze mi dała.

Chloe stała rumienna, ia stałem iak wryty,
Ah! iakim byłem czuciem na ow czas przeszyty!
W tym udała się Chloe na swoie mieszkanie,
Oczy moie zwrócone długo były na nie.
Przed wniściem do swey chaty, chwilę się wstrzymała,
I ieszcze raz się na mnie mile obeyrzała.
Moie chciwe spoyrzenia, utraciwszy one,
Długo w próg iey mieszkania zostały wlepione.
Wreszcie zszedłem z pagórka, a moie golenie,
Wstrząsło w ten czas podemną bardzo mocne drzenie.
Miłości, o miłości! wypełniy me chęci,
Bo ten moment nigdy w mey nie zgaśnie pamięci.

SIELANKA XXXIX.

DO MIŁOSCI.

Tobie o luby Cypryiski Boże!
Moie ręce podniosły, me śluby oddały.
W dniu pierwszym Maia ten ołtarz mały,
Który cienią wesoło i mirty i roże.
Czyliż nie każdego rana,
Wieńczyła ołtarze twoie,
Girlanda świerzo łzami iutrzenki polana,
Ty iednak iesteś twardy, na wzdychanie moie,
Już więdnie las, co w koło twoy ołtarz omaia,
A Fillis... Tak iest srogą iak w dniu pierwszym maia.

SIELANKA XL.

DAFNIS.

czyli

DOBRA NOC.

W pięknej nocy pod swoiey pasterki mieszkanie
Wpłozł się Dafnis. — Miłości lube iest czuwanie,
Wyiaśnionego nieba przestrzeń niezmierzona,
W koło była świetnemi gwiazdami upstrzona,
Maiestatyczny Xiężyc, swe blade promienie
Rzucał przez uciszone gęstych gaiow cienie,
Cała strona w postawie cichey i ponurey,
Zdawała się szanować spoczynek natury.
Woda bliskich strumieni, wzruszona i drząca,
Tu i owdzie iskrami błyskała miesiąca,
W powietrzu kilka iasnych robaków świeciło,
A każde inne światło iuż zgaszone było.

Dafnis mile pogrążon w czułym zadumieniu,
Siedział na swoiey lubey pasterki podsieniu,

Zrzenica iego oka niewzruszenie stała
Wlepiona w okno izby, w którey ona spała.
Okno było otwarte, i nim wiątr powiewał,
Dafnis wpół cichym głosem w tym sposobie śpiewał.

Spiyże, ah! śpiy sobie mile,
Moia Fillido kochana!
Niech cię sen ożyżwi tyle,
Ile ożywia chłod rana.
Tak leż swobodnie na twey rogoży
Jak kropla rosy na listku roży,
Gdy żaden wiatr nie powiwa,
Zawsze niewinność słodko spoczywa.

* * *

Tłuszczo marzeń lataiąca,
Gdy sen ludzi słodko poi,
Zleć na promieniach miesiąca,
Nad łoże Fillidy moi.
Niechay się w iey wolney myśli,
Mnostwo przyiemnych obrazów kryśli,
Niech widzi łąki rozzieleniałe,
I owce nad mleko białe.

* * *

Niechay w roskosznym ogrodzie,
Słyszy głos nócącey trzciny,
Niech się w czystey kąpie wodzie,
Pod mirtami i iaźminy.
Niech nad nią śpiewaią ptaki,
Skaczące z krzaków na krzaki,
Niechay się miłe weseli,
I zgracyami igraszki dzieli.
Niech zbiera na piękney łące,
Wraz z niemi kwiaty pachnące,
Wieńce od gracyi składane,
Niech bądą Fillidzie dane,
A które ona uwiie,
Te niechay wezmą gracyie.

* * *

Wiedzcie ią lube marzenia,
Do rozkwitnionego cienia,
Rzesza Amorów zdrobniała,
Tak niech w koło iey wiie się ciała,
Jak się wiie roy pszczoł choży,
Około naymłodszey roży.

Jeden roy tych lubych dzieci,
Niechay z pachnącym iabłkiem do iey nóg przyleci.
Drugi niech w iey ręce białe,
Składa iagody doyrzałe.
Inne niechay się po kwiatach gonią,
I tam wdzięczną swe skrzydła namaszczaią wonią.

* * *

Niechay iey w zielonym lesie,
Bóg Cypryiski pokaże się.
Lecz bez strzał i bez kołczana,
By iey trwożna niewinność nie była zstrachana.
Dość będzie gdy się ubierze,
W pyszną wszystkich młodości powabów odzierze.

* * *

Staw iey, o słodkie marzenie!
I moie wyobrażenie:
Niech mnie widzi omdlałego,
Z wzrokiem pełnym nieśmiałości,
Drżącym głosem mówiącego,
Że umieram z iey miłości.
Odkryć iey moie zapały,
Ah! dotąd nie byłem śmiały.

O gdybyż na to widzenie,
Uczuła w łonie swym drzenie,
Gdybyż się do mnie rozśmiała,
I twarz rumieńcem oblała!
Ah! czemuż nie mam takiey urody,
Jaką Apollo miał pasząc trzody,
Ah! czemuż w moim nóceniu,
Nie wyrównywam słowika kwileniu!
Ah! czemuż nie mam wszystkich cnot dla pozyskania
Jey uprzeymego kochania.

* * *

Dafnis skończywszy piosnkę swoiey ulubioney,
Odszedł miłym Xiężyca światłem obłyśniony.
Układł się, a roskoszne nadziei marzenia,
Bawiły go przyiemnie do samego dnienia.
Jak zaś tylko na niebo zorza wyszła biała,
Wygnał trzodę na wzgórek gdzie Fillis mieszkała.

Owieczki wolnym krokiem z nim postępowały,
I z obydwu stron ścieszki, trawkę ogryzały.
Paś się paś, na tym mieyscu moia trzodo mała,
Nigdzie, nigdzie nie będziesz lepszych pastwisk miała.

Tu gdzie nadobna Fillis rzuca swe spoyrzenia,
I kwiaty są wonnieysze, i milsza zielenią.

Gdy to mówił, Fillida okienkiem wyyrzała,
Zorza poranna mile twarz iey oświecała,
W iey oczach widzieć było słodkie uśmiechnienie,
A w iey licach nadzwyczay żywsze zapłonienie.
Dafnis przechodził z wolna, i z sercem biiącym,
Fillis go pozdrowiła tonem uymuiącym,
Gdy przeszedł, poszły za nim Fillidy spoyrzenia,
Jego albowiem nocne słyszała nócenia.

SIELANKA XLI.

KORYDON I MENALKA

czyli

SZCZĘSLIWA WRÓŻBA.

KORYDON.

W mały z marmuru kościoł stoiący w bliskości,
Przyniosłem dnia pewnego ofiarę miłości,
Na mirtach, które koło tey świątyni stoią,
Zawiesiłem koszyszek i piszczałkę moią;
Piszczałkę dziesięćdziurną, koszyczek wiklany,
Swierzemi w koło kwiaty pięknie oplatany.
Boże (rzekłem) co w ludziach płomień niecisz luby,
Wypełniy, o wypełniy! mego serca śluby.
Kiedy wczoray Menalko tamtędy przechodzę,
Wstąpiłem w gai mirtowy, stoiący przy drodze,
Chciałem widzieć koszyczek, wzniosłszy wźrok do
góry,
Widzę ptaka ślicznemi okrytego pióry,

Siedząc na brzegu kosza, nócił bardzo miło,
Zbliżam się, lecz zbliżenie me ptaszka spłoszyło,
Spoyrzawszy do koszyczka, widzę gniazdo małe,
Gniazdo drobnemi ptaszki założone całe.
Matka z wielkiey boiaźni, drżąca i struchlała,
Troskliwie ie swoiemi skrzydły okrywała.
I mówiła swym wzrokiem: o pasterzu młody!
Nie czyń nam, nie czyń żadney w tym gniazdeczku szkody.
Odszedłem, a wnet samczyk który latał wkoło,
Siadł iak wprzod na koszyczku, i śpiewał wesoło.
Menalko który dobrze znasz się na wieszczeniu,
Powiedz mi co za wróżbę w tym widzisz zdarzeniu?

MENALKA.

Oto że z twą pasterką połączony mile,
Będziesz na łonie szczęścia słodkie pędził chwile,
A za błogosławieństwem życzliwey *Lucyny*,
Spłodzisz i śliczne córki i wesołe syny.

KORYDON.

I ia też, przyznam ci się, toż samo myślałem,
Lecz dla pewności, ciebie poradzić się chciałem.

Zwykły się twoie wròżby pełnić bez zawodu,
Przyymyy to białe koźle i ten dzbanek miodu.
Słodszy on iest niż usta odemnie kochane,
A wonnieyszy i czystszy niż powietrze rane.
Temi dobrego wieszcza pożegnawszy słowy.
Skakał iak młode koźle po rosie maiowey,

SIELANKA XLII.

GLICERA.

Glicera była piękna, lecz razem uboga,
Jey matkę, bardzo wcześnie śmierć zabrała sroga,
Dla wyżywienia siebie służyć przymuszona,
Wodziła na pastwisko baranki Lamona.
Raz przeięta żałością, i łzami zalana,
Szła na mieysce gdzie matka była zagrzebana;
Wylała na grob matki kuszę czystey wody,
Wieńcami świeżych kwiatów, chrost okryła młody
Chrost, który koło grobu sama zasadziła,
Siadłszy w tym smutnym cieniu, tak sobie mówiła:

„Matko! którą wyroki zabrały mi srogie,
Jakże są twoie cnoty, memu sercu drogie?
Tobiem winna że ieszcze ma niewinność cała.
Jeżli zapomnę nauk któreś mi dawała,
W ten czas gdy na me łono twą schyliwszy głowę,
Pracowitego życia kończyłaś osnowę,

Niechay mnie, niechay Bogów odstąpi opieka,
Niech wiecznie twoy cień święty odemnie ucieka.
O moia droga matko, tobiem, tobie winna,
Że ieszcze do tey chwili zostaie niewinna.
Chcę twym zwłokom rzecz całą iak była przełożyć,
Komuż innemu mogę me serce otworzyć?
Niceasz z Mityleny, pan naszey zagrody,
Przybył do nas używać iesienney swobody,
Często na mnie z uśmiechem, rzucał oko swoie,
Uwielbiał pilność w pracy, chwalił trzodę moie.
Mówił często: że iestem i dobra i miła,
Dał mi dary. O nieba! iakżem się myliła!
Ale czyli iest na wsi znane nieufanie!
Mówiłam: Sama dobroć w naszym mieszka panie,
Niech, o niech spełnią nieba iego wszystkie chęci,
Łaski iego nigdy w mey nie zgasną pamięci.
Bogacze maią wszystko i są szczęśliwemi,
Dobroczynni iak moy pan, warci bydź takiemi.
Kiedy się takie myśli w duszy snuły moi,
On mile brał mą rękę i ściskał ią w swoi.
Nazaiutrz zrumieniona nieśmiałam wznieść oczy,
Kiedy on złoty pierścień na moy palec tłoczy,
Czy znasz (rzekł) co iest na tym kamieniu wyrznięte,
Wiedz iż to dziecko skrzydłe, iak ty uśmiechnięte.

Uczyni cię szczęśliwszą nad twoie wspólnice.
Mówiąc to, głaskał moie rozpalone lice,
Kocha cię — Nic nie mówiąc pomyśliłam sobie,
Dobroczynnego oyca czułość ma ku tobie.
Czy wartaś tylu względów, tak wielkiego Pana?
Matko! to twoia córka myśliła zdumiana.
Niebo! Jakże błądziła!... Dziś zrana w ogrodzie
Poufale swą ręką uiął me podbrodzie,
I rzekł: przynieś mi przynieś, me dziewcze kochane,
Wonnych kwiatów, w te z mirtu cienistą altanę.
Zbieram z wielkim pośpiechem naypięknieysze kwiatki,
Lecę pełna radości do mirtowey chatki.
Zefir (rzekł) nie tak lekki, Flora urodziwa,
Tobie dziewczę w powabach swych niewyrównywa,
I w ten czas. — Nieba! na to okropne wspomnienie,
Jeszcze czuię bolesne w mych członkach skrętwienie;
W ten czas mówię między swe obiął mnie ramiona,
I niezbronną do swego przyciskał mnie łona,
A cokolwiek mieć może miłość podchlebnego,
Wszystko, wszystko na ow czas z ust płynęło i go.
Płakałam pogrążona w srogim zatrwożeniu,
Ale słaba sztucznemu oprzeć się zwodzeniu,

Jużbym pewnie na wieki nieszczęśliwą była,
Gdyby twa droga pamięć w mym sercu nie tkwiła.
Ah! gdyby (rzekłam w sobie) twa matka powstała,
I ciebie te pieszczoty znoszącą widziała.
Te słowa nowe męstwo w moię duszę wlały,
Więc na obronę siły wydobywszy całey,
Uciekłam... Matko! winnam moię całość tobie,
Przychodzę łzy wdzięczności ronić na twym grobie.
Przebóg! i trzebaż było moia matko miła,
Abym cię w kwiecie pierwszey młodości straciła?
Dziś więdnę, iak więdnieie ten gwoździk pachnący,
Pozbawiony podpory, swe źdźbła wstrzymuiący.
Wylałam ten dzban wody na cześć matko twoie,
Ah! spoyrzyy na te wieńce, i przyymiy łzy moie.
Matko! która pod temi spoczywasz kwiatami,
Które memi zrosiłam tyle razy łzami,
Przy twoich świętych zwłokach tę przysięgę czynię,
Że nigdy pamięć twych słów w mym sercu nie zginie,
I że wiernym za tobą iść naśladowaniem,
Będzie moiego życia iedynym staraniem.
A tak ani ubostwo, ani żadne szkody,
Nie zmieszaią na wieki dni moich pogody,
Dokąd bowiem wszystkiego będę się chroniła,
Czegobyś uśmiechnieniem twoim nie stwierdziła.

Słodka, skromna, litosna, i pracy oddana,
Dotąd będę od Bogów i ludzi kochana.
Wstępuiąc w twoie ślady moia matko miła,
Tak dni moie zakończę, iakoś ty skończyła.
Słodki płacz i swobodne twarzy uśmiechnienie,
Naznaczą piątnem szczęścia, me ostatnie tchnienie.

Glicera powracaiąc do zwykłey roboty,
Uczuła w swoiey duszy całą słodycz cnoty;
Słodkie ciepło które się w iey duszy rozlało,
W oczach łzami zroszonych przyiemnie pałało.
Piękna była iak słońce, gdy w miłym maiku
Błyszczy przez cienką siatkę, chłodnego de-
szczyku.
Słodki pokoy swobodę w iey licach rozszerzał.
Szła prędko, gdy Niceasz drogę iey zabieżał.
Glicero (rzekł) a łzami twarz iego płynyła,
Glicero! wiem przy matki coś grobie mówiła,
Nie boy się dobre dziewczę, nic ci nic nie zrobię,
Przychodzę raczey złożyć winne dzięki tobie,
Żeś mnie od tak szkaradney zbrodni obroniła,
Pomocą twoiey cnoty, moia zwyciężyła.
Daruy czysta Glicero me srogie ważenie,
I bądź pawną że wielce twoią cnotę cenię.

Glicero! bądź iak wprzody mądrą i poczciwą,
Ale bądź razem więcey niż przedtym szczęśliwą;
Łąka, którą oglądasz przy twey matki grobie,
I połowe tey trzody ofiaruię tobie.
Gdybyż, o gdyby ręka męża poczciwego,
Zapewniła na zawsze szczęście życia twego.
Nie płacz poczciwe dziewczę, i przyymiy te dary,
Z serca które cię odtąd szacuie bez miary.
Gdy nie przyymiesz, zniewaga zadana twey cnocie,
W wieczney me całe życie pogrąży zgryzocie,
Niosę ci te ofiarę, iak dobroczynnemu
Bostwu, które mnie wsparło, przeciw mnie samemu.

SIELANKA XLIII.

BUKIET.

Widziałem piękną Dafnę... Lepieyby się stało,
Gdyby iey oko moie nigdy nie widziało.
Nigdy, o nigdy bardziey nie była mamiąca,
Schroniony przed upałem przykrego gorąca,
W świerzych gęstego lasku spoczywałem cieniach:
Woda mile szmerała po drobnych kamieniach,
Gałęzie drzew nad moią głowę się zginały,
I obraz swoy w przeyrzystey wodzie malowały.
W tych tedy chłodnych cieniach, przy tym czystym zdroiu,
Kosztowałem swobodnie słodyczy pokoiu,
A od tego momentu, od tego zdarzenia,
Niemasz, ah niemasz! dla mnie więcey odpocznienia,
Gdy siedzę, nagle słyszę krzewinę szumiącą,
I Dafnę wzdłuż strumienia postrzegam idącą.
Ta wdciecznie lazurowey uiąwszy odzierzy,
Odkryła śliczne nogi i weszła w zdroy świerzy.

Schylona, prawą ręką piękne lica myła,
A lewą po nad wodę szaty unosiła.
Potym czekała chwilę aż drżące krzyształy,
Swą przeyrzystą powierzchnię powoli zrównały.
Przeyrzała się. Powierzchnia uciszoney wody,
Odbiła szczery obraz, iey śliczney urody.
Uśmiechła się na widok swych oczu mamiących,
I poprawiła włosów, nad czołem wiszących.
Ah! dla kogoż (westchnąłem) te wszystkie starania?
Ktoż iest, ktoż iest z żyiących celem iey kochania?
Gdy widok swych powabów roskoszą ią poi,
Czyyże, ah! czyyże obraz w iey umyśle stoi?

Gdy się w wodach strumienia przegląda schylona,
Wypadł nieznacznie piękny bukiet z za iey łona.
Niosł go strumień do brzegu na ktorym siedziałem,
Dafne odeszła, a ia bukieta dostałem.
O iak mu całowania dawałem gorące!
O iak go przyłożyłem na serce biiące!
O nie dałbym go nie dał, i za całą trzodę.
Lecz ah! ten piękny bukiet traci swą urodę,
Więdnieie, o więdnieie pomimo starania,
Ktorem czynił, dla iego dłużey utrzymania.

Chowałem go w kuflíku moim ulubionym,
Kufliku pięknym rznięciem, mile ozdobionym.
Rznięta iest na nim miłość pod mirtem siedząca,
I w palcach, ostrza swoich strzał doświadczaiąca,
U iey nóg dwa gołębie z złączonemi skrzydły,
Całuią się słodkiemi zaięte bawidły.
Trzykroć codziennie bukiet świerzą wodą lałem,
A co noc go na oknie do rosy stawiałem.
Ile o! ile razy nad nim nachylony,
Czerpałem słodki zapach z niego wyzioniony;
Zapach iego był milszy i żywsze kolory,
Niżeli wszystkich innych podarunków Flory,
Gdyż kwiatki składaiące ten bukiecik miły,
Dopiero się przy łonie Dafny rozwinyły.
Nie raz w obraz kuflika wlepiwszy spoyrzenia;
Zawołałem czułego pełny uniesienia:
O miłości! iakże są ostre twoie strzały!
O iakże sroga rana, którą mi zadały.
Uczyń, niech Dafne ku mnie część mych ogniów
czuie,
A ia ci na ofiarę ten kuflik daruię;
Złożę go na ołtarzu, a co każde rano,
Uwieńczę go girlandą, z świeżych kwiątków tkaną.

A

A kiedy kwiatków porą zabraknie zimową,
Ozdobię go, ozdobię gałązką mirtową,
Gdybyś ah! i ty paro gołąbeczków miła,
Obrazem szczęścia swego me szczęście znaczyła?
Ale ah! coraz bardziey bukiecik więdnieie,
Choć go stawiam na rosie, choć go wodą leie,
Smutne kwiaty na koło swe główki zwieszaią,
I pomarszczone listki zwolna upuszczaią.
Miłości! Niech ten bukiet swym prędkim zwiędnieniem
Nie będzie smutnym dla mey czułości wróżeniem.



SIELANKA XLIV.

DAMETAS I MILON.

czyli

Porównanie Woiownika z Rolnikiem.

DAMETAS.

Widzisz, iako ten baran brnie w smrodliwym bagnie,
Część owiec za nim idzie, część druga iść pragnie,
Te błota rodzą same iadowite ziele,
W tych wodach szkodliwego robactwa iest wiele,
Spędźmy z tąd nasze owce, i trzymaymy w kupie.

MILON.

Co też to, o co też to za zwierzęta głupie!
Oto wonna lewanda, słodka koniczyna,
Oto bluszcz na około po krzakach się spina,
A one porzuciwszy to miłe pastwisko,
Biegną po czcze sitowie, na smrodne bagnisko.
Lecz czyliż my Dameto równie nie czyniemy,
Kiedy miiaiąc dobre, do złego bieżemy,

DAMETAS.

Jakże te owce głupstwo obłąkiwa biednie,
Oto chrapawe żabska wyskakuią przed nie.
Głupie owce, porzućcie to bagnisko zgniłe!
Wyydzcie na ten brzeg piękny, na te łąki miłe.
Co za bieda!... Ich wełna iako mleko biała,
Smrodliwym teraz błotem zbrukaną została.

MILON.

Wyszłaś, iuż luba trzodo, z tych bagnisk śmierdzących,
Paś się, paś na tych łąkach buynych i pachnących.
Lecz co widzę? Dameto spoyrzyy w mieysce owe,
Oto utopjone w błocie słupy marmurowe,
Obrośnięte sitowiem i zioły dzikiemi.
Patrzay na tę arkadę leżącą na ziemi,
Bluszcz gęsty ze wszystkich stron boki iey okrywa,
A z iey szpar dzikie ciernie z ostem się dobywa.

DAMETAS.

Był to grob starodawny.

MILON.

Tak w samey istocie,
Oto widzieć i trumnę pogrążoną w błocie.

Na iey bokach woienne wyryte są znaki,
Tu zbroyne uderzaią na siebie żołdaki,
Tam swoiemi kopyty konie roziuszone,
Depcą ludzie na piasku, nędznie rozciągnione:
Ten co zbroynym ozdobił swą trumnę żołnierzem,
Nie był, o nie był pewnie spokoynym pasterzem!
Ten którego grób pyszny w rozwalinach leży,
Nie był pewnie spokoynych, kochaniem pasterzy.
Nie wiele na grób iego kwiatów wysypano,
Stałby dotąd ten mauzol, gdyby go kochano.

DAMETAS.

Był to zbrodzień, co wioski poniszczył okólne,
I w kaydany niewoli pokuł ludzie wolne,
Konie iego rycerzy swoiemi nogami
Deptały buyne pola, okryte źniwami.
Zabrał bydło mieszkańcom, spalił ich chałupy,
I zasłał te równiny, naszych dziadów trupy,
Jak rzucaią się wilcy na owce strachane,
Tak żołdaki pod iego sztandary zebrane,
Rzucali się z wściekłością, z wściekłością dręczyli
Ludzi, którzy ich w całym życiu nie skrzywdzili.
Pozorem wspaniałości kryiąc serce liche,
W pałacach marmurowych wystawiał swą pychę,

Karmił się krwią prowincyy, które wprzod okrutne,
Jego ręce w pustynie zamieniły smutne.
By ogłosił swe imię nieznanym przechodniom,
Sam tę pyszną pamiątkę swoim podniosł zbrodniom.

MILON.

Co za potwor krwi ludzkiey pragnący tak chciwie?
Gardzę nim, i wraz iego szaleństwu się dziwię.
Wystawił swoim zbrodniom monument wspaniały.
By onich nasze wnuki wiecznie pamiętały,
I aby ile razy mimo niego idą,
Klęły i nim z ostatnią gardziły ochydą.
I otoż iego pyszny mauzol wywrócony.
I otoż iego popioł na błota rzucony,
A tę wspaniałą urnę w którey był ukryty,
Napełnia dzisiay glina i gad iadowity.
I możnaż się nie rozśmiać, gdy oko obziera,
Siedzącą na szyszaku żabę, bohatera,
A po iego ogromnym mieczu obosiecznym,
Wlekącego się krokiem ślimaka bespiecznym.

DAMETAS.

I coż mu z iego smutney wielkości zostało,
Co z potęgi, przed którą wszystko niegdy drzało?
Czarna pamiątka zbrodni. A iego cień smutny
Jęczy dziś pod biczami furyi okrutney.

MILON.

Nikt zań uprzeymych w niebo nie posyła chęci;
Zginął, a każdy iego złorzeczy pamięci.
O iakże ten iest nędznym, który swoie życie,
Oszpeca przez występne swey władzy użycie?
Gdybymi i całego skarby dano świata,
Jeżli miałbym ich kupić krzywdą mego brata,
Wolałbym paść dwie kozy, a przy tey chudobie
Żyć spokoynie, i miłym bydź samemu sobie,
I ieszcze bym z nich iednę zarznął na spalenie,
W winne Bogom za moie szczęście dziękczynienie.

DAMETAS.

To mieysce nas napełnia samą tylko trwogą,
Poydź Milonie, pamiątkę bardziey uyrzysz drogą,
Pamiątkę dobroczynney cnoty oyca mego,
Wystawioną w bliskości, własną ręką iego.

Alexie, ty tym czasem naszey pilnuy trzody.

M I L O N.

Towarzyszę ci pełen nayczulszey swobody,
Czcić cnotę twego oyca, którego wspomnienie
Cała strona w naywyższey ma do tych czas cenie.

D A M E T A S.

Idźmy ścieszką tey łąki, luby przyiacielu,
Mimo pnia okrytego gęstym krzakiem chmielu.

Poszli. Na prawey stronie łąka niezmierzona,
Wznosiła buyną trawę do obydwóch łona;
Po lewey stronie pola okryte zbożami,
Miotały plonne kłosy, po nad ich głowami,
Scieszka łąki w gaiczek prowadziła mały
Drzew rodzaynych, co sporą chatę otaczały.
Pod iednym z nich nad inne rosłym i cienistym,
Mały stół na trawniku postawił kwiecistym,
Na nim z rozkazu iego służący chłopczyna,
Położył kosz owoców i dzban pełny wina.

M I L O N.

Gdzież Dameto pamiątka twego oyca stoi,
Niech nań pierwszy kusz wina płynie z ręki moi,

DAMETAS.

Pokrop winem tę ziemię, ta chatka z tym cieniem
Będzie cnót mego oyca wiecznym wspomnieniem.
To mieysce pustką stało, iego czynne dłonie
Zasadziły te drzewa, zorały te błonie,
My i synowie nasi, z poźnemi wnuczęty,
Co dzień zato cień iego błogosławiem święty.
Ten z którym się prac iego dziełem owocami,
Będzie pamiątkę iego wraz uwielbiał z nami.
Dla cnot iego, opieka niebios szczodrobliwa,
I na dobytku naszym, i na nas spoczywa.

MILON.

O mężu dobroczynny! O szlachetny cieniu!
Leię ten kielich wina ku twemu uczczeniu,
Możnaż chlubnieyszą sobie pamiątkę wystawić,
Jak pracą i staraniem obfitość zostawić
Na liczney, a cnotliwey familii łonie,
I czynić dobrze ludziom po swym nawet zgonie.

SIELANKA XLV.

IRYS I EGLE

czyli

KĄPIEL.

EGLE.

Chociasz się iuż nachyla do zachodu słońce,
Przecięż iednak powietrze zawsze iest gorące.
Wszystkie zioła omdlone, wierzchy poschylały.
Poydźmy Irydo, poydźmy nad ten strumień mały,
Jego woda iest świeża, a te gęste cienie,
Ofiaruią nam miłe przed słońcem schronienie.

IRYS.

Poydźmy . . . Idę za tobą . . . postąp ieszcze dalii,
Bo tu się liść natrętnie na mą głowę wali.

EGLE.

Jakże czyste są wody, tey spokoyney rzyczki,
O widzieć przez nię nawet drobniuchne kamyczki.

O iak mile iey fale toczą się po piasku.
Ah! złożę me odzienie w tym cienistym lasku,
W tę nader miłą świerzość wnidę obnarzona,
I zanurzę się w wodzie do samego łona.

IRYS.

Ale gdy kto nadeydzie, i nas tu postrzeże.

EGLE.

Żadna ścieszka w tych mieyscach trawnika nie rzerze.
Ta iabłoń co się niby od brzegu odrywa,
I ten strumień obrosłym wierzchołkiem nakrywa,
Ta iabłoń nas otacza zielenią do koła,
Zielenią, którey oko przeniknąć nie zdoła.
Ten liść skrzydły płochego wstrząśniony zefira,
Otwiera się na moment i wnet się zawiera.

IRYS.

Co ty Egle chcesz czynić, i ia więc uczynię.

Tu złożyły pasterki swe szaty w gęstwinie,
I wnet nayprzyiemnieyszym wskroś przeięte drzemieniem,
Weszły w rzekę okrytą gęstym drzewa cieniem.

Oblewa ich kolana woda wyczyszczona,
I wnet do różowego posuwa się łona;
Usiadły na kamieniach, które blisko brzegu,
Rzeka zwolniona w swoim zostawiła biegu.

EGLE.

Czuię radość Irydo, czuię życie nowe,
Ey zaśpiewaymy sobie piosneczki iakowe!

IRYS.

Chceszże by nas z pobliskiey usłyszano skały?

EGLE.

Prawda. To więc piosneczek nie będziem śpiewały.
Raczey sobie Irydo w cichości pomowiem;
Powiesz iednę powiastkę, ia ci drugą powiem.

IRYS.

Wiem ia iednę dość piękną, ale,

EGLE.

I coż ale,
Czyliż cię ten liść wyda, lub te zdradzą fale.

IRYS.

Powiem więc. Wczoray po tey nachyloney gorze,
Gnałam owce na łąkę, ktòrą zwilża morze,
Na iey pochyli, iak znasz wielka wiśnia stoi...
Lecz wydamże naywiększy sekret duszy moi?

EGLE.

Nie bądź dziwna, wszak w przyiaźn zaufana twoie,
I ia ci także serce wnet odkryie moie.

IRYS.

Gdy się zbliżam do wiśni na ścieszcze stoiącey,
Nagle głos usłyszałam przyiemnie nòcący.
Strworzona, boiaźliwa, wstrzymuię mą drogę,
Patrzę w koło, a iednak nic widzieć nie mogę.
Idę, głos się przybliża, idę ieszcze chwilę,
Aż tu moy głos przyiemny, słyszę za mną w tyle.
Przeszłam iuż bowiem mimo wiśni rozrośnioney,
Z którey wierzchu te słodkie wychodziły tony,
Co głos śpiewał nie powiem, o nie powiem wcale,
Chociaż pamiętam wszystkie słowa doskonale.

EGLE.

Musisz, musisz powiedzieć, te osobne cienie
Czynią Irydo wolnym wszystkiego mówienie,
Procz tego gdy się młode dziewczęta kąpaią,
Wszystko, o wszystko sobie w ten powiedaią.

IRYS.

Powiem ci więc co śpiewał, powiem w treści całey,
Lecz możnasz tak powtarzać swoie własne chwały?
Wiemy prawda, że gdy nam pasterze śpiewaią,
Zawsze nas w swoich pieśniach nadto wychwalaią.
Gdym więc szła mimo wiśni— Czuię Egle czuię,
Że rumieniec na moie lica wystepuie.—
Głos śpiewał w tey osnowie:
„I ktoż iest ta pasterka? tak śliczna w urodzie,
Tak powabna w kibici, tak szlachetna w chodzie?
Zefiry co z miękkiemi iey włosy igracie,
Zefiry, co tu owdzie iey szatą miotacie,
Powiedźcie kto iest ona? ah swemi wdziękami,
Zda się bydź nayślicznieyszą między gracyami.

Jak wonney dzięcieliny kępy rozkwitnięte,
Zginaią się swobodnie, pod iey śliczną piętę,

Jak te kwiaty na brzegach rozwinione drogi,
Nachylone całuią, iey drobniuchne nogi.
Zbiorę kwiaty twoiemi nogi przyciśnięte,
Zbiorę kwiaty, twe śliczną całuiące piętę,
Zbiorę ie, i z nich zaraz dwa wieńce uwiię,
Jeden oddam miłości, drugim skroń okryię.

Z iakże wielką boiaźnią, iey czarne źrzenice,
Przebiegaią ze wszesh stron nasze okolice.
Nie boy się. Ah! nie iestem iastrzębiem okrutnym,
Nie są, nie są wróżeniem moie pieśni smutnym.
Czemuż nie mogę śpiewać tak słodkiemi tony,
Bym zatrzymał na moment twoy bieg rozpędzony;
Czemuż głos moy nie ma tey rozrzewnienia mocy,
Jaką ma głos słowika, w piękney maiu nocy?
Nie bardzisz mnie twa piękność mami i przenika,
Niżeli śliczna wiosna czułego słowika?

Czegoż się boisz? Czego? stań raczey na chwilę
I pokażmi twarz twoią uśmiechnioną mile.
Róże dzikie odwróście swe kolce od drogi,
I nie rańcie tak piękney, i tak drobney nogi,
Lub tylko do iey szaty nachylcie swych prętów,
I onę, choć na kilka wstrzymaycie momentów.

Lecz bieży... I co litość mieć się ku mnie zdaią,
Próżno się iey ucieczce wiatry opieraią
Mimo wszystkich natężeń. — Ah tyle iest srogą!
Wstrzymały iey odzienie, iey wstrzymać nie mogą.
O narwę pięknych wiśni do koszyczka mego,
I ten w nocy przywiąże do okna twoiego.
Jeżeli ten dar przyymiesz, wioska nasza cała,
Szczęśliwszego nademnie nie ma i nie miała.
Uchodzisz... Już cię drzewo przedemną zakrywa,
Ah! ieszcze fałd ostatni twoiey szaty pływa;
Lecz przebóg! Co za sroga żałość mnie przenika,
Oto iuż i ostatek twego cienia znika.

Tak śpiewał dobry pasterz, ia spuszczonym okiem
Postępowałam daley zawsze śpiesznym krokiem.
Rzuciłam wzrok ukradkiem na wierzchołek drzewa,
Lecz nie d ł mi liść gęsty rozpoznać kto śpiewa.
Noc przyszła. Możesz zgadnąć Egle czylim spała,
Wnet w mym oknie młodegom pasterza uyrzała,
Co wiązał kosz do kraty. Xiężyca promienie,
Rzucały na me łoże iego żywe cienie.
Wstrzęsło się moie serce, zaięły iagody;
Lecz iak tylko od okna odszedł pasterz młody,

Zbliżyłam się cichuchno do kraty i drzący
Odwiązałam koszyczek u okna wiszący.
Pełny był pięknych wiśni. Jakem ci życzliwa,
Jeszczem tak słodkich iagod nie iadła iak żywa.
Wmięszał w nie pączki róży, i liście mirtowę.
Oto Egle masz całą powieści osnowę.
Ale kto był ten pasterz twa ciekawość cała,
Nie może . . .

ÉGLE.

Jażbym oto ciebie się pytała?
Ciebie coś iest tak skryta, iak żadna nie była,
Pewniebyśmi że to był brat moy zaprzeczyła,
I że koszyk u twego okna uwiązany,
Był mu tegoż samego dnia odemnie dany.
Ah! ty mieszasz się widzę, i czerwoność żywa
Twoie łono, i twoie iagody obliwa,
Patrzysz w wodę. Sciśniy mnie Irydo kochana,
Będę, o będę w krótce twoią siostrą zwana.

IRYS.

Ah! kocham cię, iak siebie, gdybym nie kochała
Czyliżbym ci naywiększy moy sekret wyznała?

EGLE.

By się więc nie trwożyła twa ufność troskliwa,
Powiem ci co me serce w skrytości ukrywa.
Pierwszego dnia miesiąca iako zwyczay stary,
Moy oyciec składał PANU nabożne ofiary,
Przyiaciela Menalkę zaprosił na gody.
Przyszedł ten, z nim syn iego przybył Dafnis młody.
Gdy się obrzęd ofiary iak zwyczay odbywał,
Dafnis w ten czas na fletni dwoistey przygrywał.
Znasz iak on gra przyiemnie, iego włos złocisty,
Snuł się w gęstych kędziorach po szacie śnierzystey.
Tak był piękny na ow czas, iak Bóg *Delu* młody.
Gdy skończywszy ofiarę idziemy na gody....
Lecz słuchay... głos się iakiś po gaiu rozszyrza...
Głos ten coraz się bardziey do tych brzegów zbliża....

IRYS.

Prawda... Zbliża się coraz... Ratuycie Boginie.
Weźmy szaty i w bliską skryimy się iaskinię.
Tu uciekły pasterki, iak trwożne gołębie
Uchodzą, gdy drapieżne gonią ich iastrzębie.

Tym czasem próżnym strachem zostały spędzone,
Był to bowiem jelonek tak trwożny iak one,
Jelonek, który śpieszno przez krzaki przechodził,
Aby się w zimney wodzie z upału ochłodził.



SIELANKA XLXVI.

MENALKA I ALEXYS.

Menalka był podżyły, dzielna wieku siła
Jego szanowną głowę ku ziemi schyliła,
Czoło iego czupryna srebrna okrywała,
Broda śnieżna po piersiach do łona spadała,
Jego nogi wyschnięte, zachwiane i chore,
Miały z laski potrzebną wchodzeniu podporę.
Jak ten, który pracuiąc w dzień lata pogodny,
Odpoczywa przyiemnie pod wieczorek chłodny,
I dzięki czyniąc Bogu, którego opieka
Broniła go w dniu całym, snu smacznego czeka,
Tak Menalka po pracach i długim znurzeniu,
Oddał wreszcie dni swoie Bogom i spocznieniu.
Oczekuiąc aż iego ociężałe oczy
Spokoynie sen grobowy na wieki zamroczy.
Z roskoszą widział na swe dzieci ukochane
Błogosławieństwo Niebios obficie wylane.
Zostawił im w dziedzictwie dosyć liczną trzodę,
Wielkie i buyne łąki, porządną zagrodę.

Dzieci iego zdały się całe na to silić,
Aby resztę dni iego naywdzięczniey umilić,
I aby wrócić iego ułomney starości,
Prace które wprzod dla ich podiął był młodości.
Te starania od dzieci rodzicom powinne,
Zawsze choynie nadgradza niebo dobroczynne.
Nie raz do ciepła słońca wyszedłszy przed chatę
Patrzył na piękny ogrod na pola bogate;
Nie raz słów używaiąc mile uymuiących,
Witał i zatrzymywał mimo przechodzących.
Słuchał nowin sąsiedztwa, rad pytał obcego,
Co odległe krainy maią szczególnego.

Wnuki przy nim swobodne stroiąc krotofile,
Jego ostygłą starość rozśmieszały mile,
Sam tworzył ich zabawy, sam gry rozporządzał,
Sam kłótnie między niemi zaięte rozsądzał;
Uczył ich, iak bydź maią słodcy dobroczynni,
Jak litość nad zwierzęty mieć nawet powinni.
W każdą igraszkę, w każdą rozmowę bawiącą,
Mięszał naukę prostą, lecz uderzaiącą.
Sam robił cacka wnukom, te doń się zbiegały,
I raz, zrób to, drugi raz zrób owo wołały.

Gdy z rąk iego dostały bawidło żądane,
Padały mu na szyię ukontentowane,
I skakały z wesela. — Na radości tyle,
Patrząc luby staruszek uśmiechał się mile.
Uczył ich robić fletnie z wiosienney wierzbiny,
Uczył na szałamaie składać pręty trzciny,
Uczył tonow któremi wieść na paszą trzody,
Tonów, któremi one wzywać do zagrody.
Sam dla nich składał pieśni, młodsze ie śpiewały,
A starsze na piszczałce młodszym wtórowały.
Niekiedy usta iego łatwe i wymowne
Gadały wieści miłe i intereſsowne.
W ten czas wnuki usiadłszy, usta otworzone,
A oczy w iego wargi trzymały wlepione.

Gdy raz zrana na wniściu siadł swoiey zagrody,
Sam przy nim z wnuków iego był Alexys młody.
Chłopiec trzynastoletni, chłopiec urodziwy,
Jego lica rumieniec przyozdabiał żywy,
Czerstwe zdrowie w postaci widzieć było całey,
Włosy iego w złocistych kędziorach pływały,
Starzec mówił o szczęściu serca uczynnego;
O szczęściu które czuiem wsparłszy ubogiego:

Żadne szczęście (rzekł) żadne nie zrównywa temu,
Co zwykło towarzyszyć czynowi dobremu,
Błyszczący wschod iutrzenki, miły zachod słońca,
Rwiące gruby cień nocy promienie miesiąca,
Wlewaią w nasze serce słodkie uniesienie,
Lecz słodsza iest uczynność, słodsza nieskończenie.
Tu rozpłynione choynie Alexa źrzenice,
Łzami roskoszy iego pokropiły lice.
Starzec wlepiwszy czule swoie w niego oczy,
Synu, (rzekł) twe iagody płacz roskoszny broczy.
Me słowa tak mocnemi nigdy by nie były:
Twoie serce tak dzielney dostarcza im siły.

Alexy otarł z płaczu swe lica różowe,
Lecz w iego oczach coraz łzy stawały nowe.
Ah! czuię (rzekł) moy oycze! bardzo mocno czuię,
Że dobroczynność serce roskoszą przeymuie.

Menalkas ścisnął rękę dobrego młodzieńca,
I rzekł, czytam z twych oczu, z twoiego rumieńca,
Że się twa cała dusza potężnie wzruszyła,
Lecz to nie sama dzielność słow moich sprawiła.

Oniemiały młodzieniec spuścił swe spoyrzenia,
Czy nie dość (rzekł) wyrazy twe maią płomienia,
Ażeby mnie czułością natchnęły przyiemną:

Widzę synu (rzekł) starzec, że kryiesz przede-
mną,
To co szlachetnym ogniem twe łono rozgrzywa,
A co się gwałtem prawie z ust twoich wyrywa.

Powiem więc (rzekł młodzieniec ścieraiąc łzy
swoie)
To co miało na wieki taić serce moie,
Bo czyliż nie słyszałem tylekroć od ciebie,
Że zmnieysza swą zasługę kto chwali sam siebie,
I dla tego moy oycze do tych czas taiłem,
To co natchnęło ogniem moie serce miłem,
I to co mi czuć daie, iże nic słodszego,
Nie masz w życiu człowieka od czynu dobrego.
Zginęła mi raz owca, ia szukaiąc oney,
Chodziłem po tey górze krzaki porośnioney.
W tym słyszę głos ięczący, udaie się w stronę,
Z którey te narzekania były wypuszczone,
Postrzegam wreszcie człeka, co dłońmi drżącemi,
Zdeymował z barków ciężar, i kładł go na ziemi.

„Nie mogą (rzekł) nie mogą iść daley me nogi,
Pełne iest życie moie, pełne nędzy srogii.
Pokarm który me życie ledwie utrzymuie,
Oto wszystko, co krwawą robotą zyskuie,
Kilka godzin pod ciężkie południa upały,
Noszę ten przykry ciężar omdlony, spotniały
A dla mego posiłku, dla moiey ochłody,
Ani znayduię drzewa, ani zimnèy wody.
Nieba! widzę wkoło mnie okropne pustynie,
Żadna ścieszka nie wiedzie ku moiey dziedzinie.
Nie mogę żadną miara, nie mogę iść dalii,
Bogowie! o wyście mnie zawsze ratowali!
Mówiąc to położył się na swoim tłomoku:
Nie widziany goglądam na to wszystoko zboku,
I wnet do naszey chaty, iak nayśpieszniey bieżę,
Zbieram w koszyk owoce, i suche i świeże,
Nalewam w moy naywiększy dzban słodkiego mleka,
Wracam tam, gdzie słabego odszedłem człowieka.
Leżał w ten czas spokoynie snem zaięty miłem,
Powoli się, powoli do niego zbliżyłem,
A położywszy koszyk i dzban pełny mlika,
Schroniłem się do krzaków bliskiego gaika.

Oc-

Ocknął się, i gdy w ciężar swoie oczy wlepił,
O iakże (rzekł) sen słodki mile mnie ukrzepił.
Wezmę cię, wezmę zaraz na moie ramiona,
Nie na tobież ma głowa leżała skłoniona?
Może łaskawe nieba me kroki zawiodą,
W mieysce świeżego źrzodła opatrzone wodą.
Może gdzie znaydę chatę, a gospodarz błogi,
Z życzliwą uprzeymością przymie mnie w swe progi.
Mówiąc to, gdy swoy tłomok na ramiona bierze,
Widzi przy sobie koszyk, widzi mleko świerze.
Upuścił z rąk swych ciężar, zawołał: O nieba!
Pewnie doskwieraiąca ludzi mnie potrzeba,
Sni mi się bez wątpienia, a gdy się obudzę,
Zginie widok, którym się nadaremnie łudzę.
Ale nie, nie iest to sen, wszak czuwam, wszak stoię.
Tu śpieszno do koszyka rękę ściągnął swoię,
I zawołał o nieba! któreż Bostwo, które
Zesłało mi w potrzebie cudowną podporę,
Ku twoiey czci te pierwsze leię krople mlika,
I te dwa piękne iabłka poświącam z koszyka.
Przyim co ci oddać każe wdzięczność przyzwoita,
Widzisz czy moia dusza nie iest nią przeszyta.

Mówiąc te słowa, usiadł wesoło na na ziemi,
I iadł zalawszy oczy łzami roskosznemi.
Posilony wstał z ziemi, złożył Bogu dzięki,
Z którego dobroczynney wziął posiłek ręki.
Może (mówił) łaskawa niebianow opieka,
W te mieysca litosnego ściągnęła człowieka,
Aby ukrzepił w dalszą moie siły drogę,
Ah! czemuż go oglądać i ściskać niemogę.
Gdzież iesteś, ah! gdzież iesteś? obyśmi się stawił,
Bym ci złożył me dzięki, bym cię błogosławił!
Błogosławcie o nieba! dobroczyńcę mego,
Błogosławcie i wszystko co mu iest miłego.
Już mam dosyć, lecz wezmę z sobą te ostatki,
Niech ie z nich moia żona, niech iedzą me dziatki,
I niech wraz ze mną głosy podnoszą wdzięczności,
I niech wraz ze mną głosy podnoszą wdzięczności,
Rzekłszy to odszedł, a ia płakałem z radości.
Tym czasem przedarłszy się przez krzaki gęstwiny,
Na tey którą szedł, brzegu usiadłem drożyny,
Przybliżywszy się ku mnie, mile mnie pozdrowił;
Słuchay synu (z nayszczerszą uprzeymością mowił)
Czyliś gdzie na tych gòrach nie widział człowieka,
Niosącego owoce, i dzban pełny mleka.
Nie, nie widziałem (rzekłem) żadnego człowieka,
Niosącego owoce i dzban pełny mleka.

Lecz po coż tędy idziesz, nikt tu, nikt nie mieszka!
I żadna na to mieysce nie prowadzi ścieszka;
Zbłądziłeś bez wątpienia. — Tak iest synu miły,
Kroki moie w tey dzikiey pustyni zbłądziły,
I gdyby mi, ah! któreś Bostwo dobrotliwe,
(Jeżeli to człowiek, nieba! bądźcie mu życzliwe),
Gdyby mi któreś Bostwo nie dało wzmocnienia,
Zginąłbym był w tych mieyscach z głodu i pragnienia.
Pozwol więc (mowiłem mu) pokażę ci drogę,
I spuść z ramion ten ciężar, nieść ci go pomogę.
Dał mi wreszcie swoy tłomok po długim wzbranianiu!
A ia wiodłem go prosto ku iego mieszkaniu.
Oto oycze zdarzenie, które moie oczy,
I w tym ieszcze momencie słodkiemi łzy moczy.
Nie wiele uczyniłem, iednak to nie wiele,
Przyiemnieysze w mym sercu obudza wesele,
Niżli czyste powietrze poranku pięknego,
Coż ten czuie, co więcey uczynił dobrego?!

Starzec dał młodzieńcowi nayczulsze ściśnienie,
Ah! z pociechą w grobowe (rzekł) stępuię cienie,
Ah! dosyć mam za moie starania zapłaty,
Gdy zostawiam uczynność w progach moiey chaty.

SIELANKA XLVII.

BURZA.

Misys i Lamon wspólnie swoie paśli trzody,
W mieyscu gdzie w łono morza Tyfern rzuca wody,
Na stronie czarne chmury z wolna się zbierały,
Wierzchy drzewa na koło posępnie milczały,
Jaskółki tu i owdzie latały trwożliwe,
Zeszły z okólnych pastwisk, iałówki lękliwe,
Dway pasterze szczególnie w polu się zostali,
I nadchodzącą z wolna burzą uważali.

Co za straszne (rzekł Lamon) panuie milczenie,
Patrz, iak słońce za chmury chowa swe promienie;
Za chmury które w koło iak pyszne ugorza,
Podnoszą się z powierzchni rozległego morza.

MISYS.

Lamon! to morze czarne, i niezmierne razem
Żywym wieczystey nocy, żywym iest obrazem,

Stoi teraz spokoynie, lecz to uciszenie,
Zamieni się natychmiast, w okropne wzburzenie.
Już się, iuż się w powietrzu głuchy szelest szerzy,
Tak gdy nagłe nieszczęście na ludzi uderzy,
Słychać w ten czas z daleka wrzask i łoskot srogi,
Smutne głosy rozpaczy, boleści i trwogi.

LAMON.

Oto chmury w postacie zmieniaią się rożne,
Coraz bardziey są czarne, coraz bardziey grożne.

MISYS.

Łoskot coraz się zbliża i mocy dobywa,
Już nieprzeyrzane morze noc czarna okrywa.
Już, iuż oto i wyspy Diomeda chłonie,
Lampa morska wiey czarnym iedna błyszczy łonie,
Ale oto i wiatry chuczeć zaczynaią,
Patrz iak szarpią tę chmurę, i iak nią rzucaią,
Patrz iak mieszaią wodę, iak wznoszą bałwany,
Ubielone pasami pływaiącey piany.

LAMON.

Już burza w całey swoiey wybuchnęła sile,
Lecz widok iey wściekłości zachwyca mnie mile,

Jakaś nie znana roskosz z trwogą połączona,
Rozszerza się swobodnie w pośrzod mego łona,
Zostańmy na tym mieyscu. W czasie większey burzy,
Ta nam na schowanie się iaskinia posłuży.

MISYS.

Zostańmy... I mnie widok zachwyca takowy,
Już się burza nad nasze posunęła głowy,
Morze tłucze o brzegi bałwany spienione,
Wiatr świszczy przez drzew wierzchy, gwałtownie schylone.

ŁAMON.

Widzisz, o widzisz, iak te fale rozigrane,
Wznoszą pod szczyty nieba swoie śnieżną pianę.
Nakształt skał prostopadłych gwałtownie powstaią,
I wnet w straszliwą przepaść z łoskotem spadaią.
Bieżąc po grzbiecie wałów groźna błyskawica,
Sama tę straszną scenę swym blaskiem oświeca.

MISYS.

Nieba!... Okręt!... Tak wisi na tym wodnym wale,
Jako ptak na kończystey zawieszony skale.

Fala spada!... Gdzie okręt? Gdzie są nieszczę-
śliwi?
Przebóg! schłonieni w morze. Przebóg! iuż nie żywi.

LAMON.

Okręt znowu na falach podniosł się burzliwych.
Ratuy łaskawe niebo, ratuy nieszczęśliwych.
Przebóg! o przebóg! patrzay, oto druga fala,
Sciga z wściekłością nędznych, i na nich się zwala,
Nędzni! na coście waszą oyczyznę rzucili,
Na coście się na wiarę zdradnych wód spuścili?
Czegożeście szukali?... Czy nie dość iest płodnym,
Kray wasz, aby pokarmu dostarczył wam głodnym?
Na coż wam było latać po odległym świecie?
Szukaliście dostatków, a śmierć znayduiecie.

MISYS.

Wasze stroskane żony, z smutnemi dziatkami,
Próżno oyczystą ziemię swemi kropią łzami;
Próżno przed ołtarz modły zanoszą pobożne,
Wasze groby na wieki będą stały próżne.
Ciała wasze lub kruki rozszarpią i wrony,
Lub też straszydła morskie w swe schłoną kałdony.
Ah! niech mieszkam w mey chacie... Ah! do mey
wygody
Wystarczą bardzo choynie i pola i trzody.

LAMON.

Skarzcie mnie słuszne nieba! iako tych nędzarzy.
Jeżli kiedy me serce mruczeć się odważy,
I ieżeli utworzę występne żądanie,
Mieć więcey niż mam teraz, i żyć w innym stanie.

MISYS.

Znidźmy z tąd o Lamonie, rozigrane morze
Kilku z tych nieszczęśliwych, rzuci na brzeg może,
Jeżeli ieszcze żyią, do nas ich weźmiemy,
Jeżli nie, to przystoyny pogrzeb im sprawiemy.

Zszedłszy na brzeg, znaleźli młodzieńca pięknego,
Bez siły i bez ruchu w piasku leżącego,
Trzeźwili go iak mogli, gdy nic nie wskórali,
Ciało iego łzy roniąc na brzegu schowali,
W koło szczęty okrętu leżały, a mała
Szkatułka się pomiędzy niemi znaydowała;
Szkatułka napełniona skarby kosztownemi,
Coż tedy (mówił Nisys) będziem robić z niemi?

LAMON.

Weźmy ie, nie dla własnego ubogacenia,
Niech nieba od takiego bronią nas pragnienia!

Lecz byśmy ie wròcili panu ich własnemu,
Lub dali więcey niż my potrzebuiącemu.

Skarb ten nie postrzeżouy oku ludzi chciwych,
Długo zostawał w ręku pasterzy poczciwych,
Nakoniec tam gdzie zwłoki młodzieńca leżały,
Misys i Lamon kościoł zbudowali mały.
Sześć słupów wyciosanych z marmuru białego,
Ozdabiały przyiemnie facyatę iego,
Wewnątrz świątyni posąg PANA umieszczono,
Słodka mierności! Tobie ten kościoł wzniesiono.

SIELANKA XLVIII.

MIRTYL I CHLOE

czyli

OFFIARA.

Mirtyl raz bardzo rano z swey wyszedłszy chaty,
Znalazł siostrę na wieńce składaiącą kwiaty.
Krople rosy na kwiatach szczerstwionych błyszczały,
A łzy młodziuchney Chłoi z rosą się mieszały.

MIRTYL.

Na coż składasz te wieńce moia siostro miła?
Przebog! tyś widzę łzami twe lica zbroczyła.

CHLOE.

Czyliż i twoie oczy nie zachodzą łzami,
Ktożby nie płakał, będąc w równey doli z nami.
Widziałeś naszą matkę, widziałeś iak ona,
W naybolésnieyszym smutku zostaie zgrążona.

Pomnisz iak odwróciwszy oczy zlane łzami,
Sciskała nasze ręce swoiemi rękami.

MIRTYL.

Pomnę wszystko, lecz pewnie nasz oyciec kochany
Bardziey iest dziś niż wczora, chorobą nękany.

CHLOE.

Przebóg! Bracie podobno śmierć iego iest bliska!..
O iakże on nas kocha, iakże on nas ściska,
Ile razy czyniemy, to co mu iest miło,
A co każdemu czynić niebo naznaczyło.

MIRTYL.

Smutna dziś dla mnie łąka, nie miły poranek,
Próżno pieści się ze mną moy mały baranek,
Próżno przymilaiące wydaie beczenia,
Zapominam mu smutny dać nawet iedzenia.
Próżno się po mych barkach wiie grzywacz młody
Próżno dziób swoy posuwa do mych ust i brody,
Nic mnie teraz nie bawi, zawsze nudzę z sobą.
Oycze! ieżli ty umrzesz, i ia umrę z tobą.

CHLOE.

Ah! pamiętasz iak oyciec na kolana swoie,
(Piąty dzień miia temu) wziął nas był oboie,
I płakał.

MIRTYL.

O pamiętam iak na swe kolana
Wziętych złożył na ziemię i zbledniał iak ściana.
Złożę was iuż z mych kołan, moie dzieci złożę,
Źle mi, o źle mi (mówił) i poszedł na łożę,
Odtąd, odtąd iuż więcey z łożka nie powstaie,

CHLOE.

I co dzień niemoc iego straszliwszą się staie.
Słuchay bracie co myślę, takem wcześnie wstała,
W celu ażebym kwiatków świerzych uzbierała,
Uplotę z nich girlandę, i dzisz ieszcze zrana
Położę ią nabożnie przed posągiem PANA.
Słyszałam że Bogowie rządcy naszych losów,
Dobrzy są i słuchaią niewinności głosów,
Pewnie Bóg moim prożbą łaskawie odpowie,
I powróci żądane memu oycu zdrowie.
Widzisz klatkę, oto w niey ptaszyna kochana,
Zarznę ią na ofiarę przed posągiem PANA.

MIRTYL.

O poydę i ia z tobą moia siostro miła,
Proszę cię, byś się ieszcze moment zabawiła,
Poydę wziąść moy koszyczek z owocy świerzemi.
Moy grzywacz! ... O i iego ofiaruię z niemi.

Pobiegł, a gdy powrócił natychmiast oboie,
Do posągu Bożyszcza dary nieśli swoie.
Ten stał na wzgórku między rosłemi sosnami,
Klękneli i temi go wzywali słowami:
„Obrońco naszzy wioski, przyymiy nasze modły,
I ten który ci niesiem podarunek podły.
Należą ci ofiary bardziey okazałe,
Lecz te ci tylko złożyć mogą dzieci małe.„

CHLOE.

Składam, składam te wieńce pod nogami twemi,
Gdybym dostała wyżey, rękami moiemi
Okryłabym, okryła girlandami w koło
Twoie rosłe ramiona, twoie piękne czoło.
Boże przyim nasze dary, Boże bądź nam błogim,
I racz powrócić oyca sierotom ubogim.

MIRTYL.

Przynoszę ci w ofierze te owoce źrzałe,
Nie ma pięknieyszych nad nie nasze sieło całe.
Dla zyskania twych względów dla naszey zagrody,
Dałbym ci naypięknieyszą kozę z naszey trzody,
Ale ta iest mocnieysza. — Moia siła mała,
Uchwycićby i przywieść oney nie zdołała.
O za to gdy podrosnę dobrotliwy Boże,
Corocznie ci dwie kozy na ofiarę złożę,
Corocznie dziękczynienia moie ci odnowię,
Powróć, o powróć proszę memu oycu zdrowie.

CHLOE.

Zarznę ci na ofiarę tę małą ptaszynę,
Moię roskosz i moie kochanie iedynę.
Patrz, iak na moią rękę dla iadła zlatuie,
Tobie ią iednak Boże chętnie ofiruie.

MIRTYL,

Ja ci zaś Boże tego grzywacza zabiię,
Patrz, iak mile do mych ust swą podnosi szyię;
Zabiię go atoli ku uczczeniu twemu,
Powróć, o powróć zdrowie z oyców naylepszemu.

Już iuż drzące ich ręce ofiary chwytały,
Gdy nagle te wyrazy słyszeć im się dały:
„Głosu niewinnych chętnie słuchaią Bogowie,
Lecz ich cudze nieszczęście w żale nieuracza,
Nie zabiiay ty ptaszka, ani ty grzywacza.
Oyciec wasz lube dzieci iuż odzyskał zdrowie.„

Stało się, i Menalka do sił przywrócony,
Tegoż dnia złożył Bogu dzięki i ukłony,
I choynie obsypany wszystkiemi dostatki,
Patrzył z lubą pociechą, na swych dziatek dziatki.

SIELANKA XLIX.

ZAZDROSĆ

Zazdrość iest ogniem piekła, nieznośnie dręczącym,
Wężem serce człowieka naysrożey raniącym,
Doświadczył biedny Alex, tych ogniow tey rany,
Kochał Dafnę, i wzaiem był od niey kochany.
Alexys był brunatny i męzkiey urody,
Ozdabiała niewinność lica Dafny młody,
Dafny piękney iak wiosna, białey iak lilia,
Która się na wyniściu iutrzenki rozwiia.
Szczęśliwi kochankowie poprzysięgli sobie
Czułość, która się w samym miała skończyć grobie.
Sprzyiaiąca Wenera, swobodne Amory,
Zdały się na nich sypać naysłodsze fawory,
Powstał z ciężkiey choroby, iego oyciec stary,
Synu! (rzekł) poślubiłem dać owiec trzy pary,
Bogu który zdrowemi choruiących czyni,
Idź, prowadź te ofiary do iego świątyni.

Od mieysca gdzie mieszkali do świątyni Boga,
Dwa duże dni przynaymniey zabierała droga.
Gdy Alexys od swoiey oddalał się miłey,
Dwa łez strumienie, z iego oczu się puściły,
Goniąc przed sobą owce nudny, zamyślony,
Nakształt synogarlicy, wzdychał opuszczoney,
Przechodził piękne łąki, nie widząc ich zgoła,
Wszystko dla niego było umarłym do koła.
Chociaż szumiały laski, szeleściły zdroie,
On czuł tylko swą miłość, widział Dafnę swoie,
Widział ią w cieniu, widział nad mrucznym strumieniem.
Słyszał z czułym do niego mówiącą westchnieniem
A chociaż owce iego z całey biegły siły,
Mniemał że nakształt żołwiow leniwych łaziły.
Stanął w reszcie w świątyni, ofiarował dary,
A po złożeniu dzięków skończeniu ofiary,
Pełen przykrey tęsknoty i niecierpliwości,
Leciał do swego domu na skrzydłach miłości.
Ale ciernie na brzegu wyrośnione drogi,
Utopiło swoy kolec w pięcie iego nogi.
Rana która niezmiernie przykro go bolała,
Ledwo do bliskiey chaty zawlec mu się dała.

Gospodarz dobroczynny, przyiął go w swe progi,
I obowiązał troskliwie ranne iego nogi.
Boże! iak iestem nędzny, (mówił bez przestania,
I rachował momenta swoiego mieszkania.
Wreszcie iakoweś Bostwo, co go dręczyć chciało,
Szkodliwy iad zaźdrości w iego serce wlało.
Nieba! mówił na ten czas pełny podeyrzenia,
Rzucaiąc w koło siebie ponure spoyrzenia;
Nieba! o myśli straszna! o męko niezmierna!
Może mi w tym momencie Dafne nie iest wierna.
Myśli sroga! przyczyną nie poparta żadną!
Lecz Dafne iest kobietą, lecz Dafne iest ładną.
Ktoż oprze się z patrzących, mocy iey urody?
Czy od dawna nie wzdycha do niey Dafnis młody?
Piękny iest. I ktoż słysząc iego głosu tony
Nie będzie w gruncie serca słodko rozrzewniony?
Czyiaż lira wydaie przyiemnieysze brzmienie,
Ich mieszkania roskoszne dzielą tylko cienie.
Precz, ah precz, idź odemnie katuiąca myśli,
Coż cię, ah! co w mym sercu coraz głębiey kryśli?
Dręczysz mnie w dzień, a w nocy mą rozdzierasz
ranę,
Często wyobrażenie moie obłąkane,

Widzi że Dafne idzie trwożliwa i cicha,
W te cienie w których Dafnis czule do niey wzdycha,
I tam nie pewna ledwie w swoich piersiach trzyma
Westchnienie, które mocno iey łono rozdyma.
Tak oglądam ią śpiącą w zielonym szałasie,
Widzi to Dafnis, wchodzi, i do niey zbliża się.
Pożera chciwym wzrokiem wdzięki iey urody,
Bierze rękę... całuie... Ona śpi iak wprzody.
Wyciska na iey ustach całunek pieszczony,
I ieszczeż śpisz?... Wołam gniewem zapalony.
Lecz coż sobie za straszne widowiska tworzę?
Dla czegoż tak dowcipnie moię mękę mnożę?
Czemuż te tylko myśli w głowie moiey rolę,
Które niewinna Dafno cnotę krzywdzę twoię?

Szosty dzień szedł, iak trwała ta katownia sroga,
Jeszcze się dobrze ranna nie zgoiła noga.
Nic atoli nie mogło wstrzymać troskliwego,
Sciska iako nayczulíy dobroczyńcę swego,
I wszystkiem się statecznie namowom opiera,
Któremi go uczynność wstrzymać chciała szczera.
Pędzony od furyi co w nim zazdrość nieci,
Wychodził, i pomimo bolu śpiesznie leci.

Już noc czarna zapadła, Xiężyca błyskanie
Okazało mu lubey pasterki mieszkanie.
Precz ztąd, ah precz ztąd myśli okrutna i płocha,
Oto mieszka w tych mieyscach, ta która mnie kocha
Dziś będę łzy radości na iey sączył łonie,
Rzekł, i przez śrzodkuiące śpieszney bieżał błonie.
W tym widzi ią idącą pod drzewa sklepieniem,
Łączącym się z mieszkania iey oyca podsieniem.
Ona to iest... O Dafne tyś się ukazała,
Twoy to chod, twoia kibić, twoia szata biała!
Ona to iest. O nieba! lecz w tak poźnym czasie,
O gdzież ona? i po co? iść tędy zbiera się?
W nocy co sprzyiać zwykła podstępom zdradliwym,
W cale iść niebespieczno pasterkom trwożliwym.
Może w mey niebytności nudna i tęskniąca,
Idzie na me spotkanie, po świetle miesiąca.
Gdy to mówił, w tym iakiś wyszedł młodzian do
niey,
Złączył się z nią, i ścisnął iey dłoń w swoiey dłoni,
Dał iey kosz świeżych kwiatów, który wnetże ona,
Uięła z przymileniem pod swoie ramiona,
Po czym odeszli wspólnie. Alexys strętwiały,
Na tak szczególny widok, trząsł się z gniewu cały.

Co widzę? Ah! co widzę? Nieba nieśmiertelne!
To tedy podeyrzenia moie są rzetelne?
Ty coś mi ie podało Bostwo litościwe,
Spuść na tę zbrodną parę kary sprawiedliwe.
Mnie zaś nie day żyć długo w tak okrutney męce.

Dafne i pasterz wspólne połączywszy ręce,
Szli w gai, który świątynie Wenery otaczał,
Scisłe porozumienie ich układ oznaczał.

Alex roziadły temi odezwał się słowy.
Idzie teraz zdrayczyni w ten sam gay mirtowy,
W pośrzód krórego niegdy rozłożytych cieni,
Przysięgła mi sto razy wieczność swych płomieni.
Wchodzą w las... Nieba! iuż ich oczy gubią moie...
Skryci liściem, usiędą na trawie oboie.
Ale widzę ich ieszcze... Jey białe odzienie,
Odbiia przez gałęzie Xiężyca promienie.
Lecz wstrzymuią się... Oto mamiące śchronienie.
Na tym mchu będziem mieli wygodne siedzenie.
Zdraycy! usiądźcie sobie... W Feby obecności,
Poprzysięgniycie sobie swe zbrodne miłości.]
Niech iędze strach okropny pomiędzy was rzucą.
Lecz...Nie...Słowiki z niemi bardzo czule nócą.

Miłe synogarlice w koło nich wzdychaią,
Tym czasem... Jeszcze daley iść się zabieraią.
Weszli, o weszli teraz w Bogini świątynią,
Poydę słuchać co mówią, i widzieć co czynią.

Wszedł w las, kolomny białe co kościoł wspierały,
Ciemność ponurey nocy mile przerywały.
Coż więc... I będąż śmieli przeyść te progi święte,
Będąż ich zbrodne śluby od niebian przyięte?
W tym pasterka wstąpiwszy na świątyni wschody,
Weszła w kościoł. W przysionku został pasterz młody.
Alex, ktòrego zazdrość srożey niż wprzòd rani,
Wpłozi się pod kolumnę, i opiera na niey.
Nie postrzeżony wpuszcza wzrok swoy w głąb świątyni,
Widzi Dafne idącą przed posąg Bogini,
Posąg, którego marmur był nad mleko biały,
Posąg pochodnią nocy obiaśniony cały.
Bogini w tył schylona z powagą uroczą,
Zda się uchylać ludzi zadziwionych oczom,
I w tymże czasie z miłą poglądać roskoszą,
Na tych co przed iey ołtarz ofiary przynoszą.

Dafne zgięła kolana, girlandy złożyła,
A bolesnym i czułym tak tonem mówiła:

Ty co wierne miłości masz w opiece twoi,
Słuchay słodka Bogini, słuchay prozby moi,
Przyim kwiaty które składam pod nogami twemi,
Zlane są rosą nocną, zlane łzami memi,
Szosty dzień od Alexa iestem oddalona,
Spraw Bogini, niech wróci między me ramiona,
Pilnuy go, i zachoway od wszelakiey szkody,
Przyprowadź go, przyprowadź, tak czułym iak
wprzody;
Przyprowadź go nayrychley, niechay rozrzewniona
Przycisnę go do mego biiącego łona.

Słysząc Alex co iego mówiła kochana,
Spoyrzał na stoiącego na przeciw młodziana,
I z twarzy, na którą bił Xiężyc wyiaśniony,
Poznał zaraz, że to był brat Dafny rodzony;
Idąc w nocy do gaiu, trwożliwa nie śmiała,
Brata za towarzysza swey drogi przybrała.

Rzucił Alexys mieyce gdzie stał niewidziany,
I ukazał się nagle oczom swey kochany,

Dafne czuiąc nayżywsze w sercu uniesienia,
Alex pełny radości, pełny zawstydzenia,
Mocno wzaiem ramiona połączywszy swoie,
Przed posągiem Bogini upadli oboie.



SIELANKA L.

ERYTHIA.

MIRSON.

Upał dziś iest Licydo! niezwyczaynie srogi,
Wnidźmy w pobliski strumień, i ochłodźmy nogi.
Ta topol rozłożysta, te wierzby wzniesione,
Rospościeraią nad nim sklepienie zielone.

LICYDAS.

Bardzo chętnie Mirsonie, w tak gorącey chwili,
Nie moglibyśmy nigdzie ochłodzić się miley.

MIRSON.

Poydźmy aż pod tę skałę, z którey strumień spada,
Tak przyiemna tam świerzość na około włada,
Jaką czuiesz kąpiąc się przy świetle miesiąca.

LICYDAS.

Słyszę szum, który woda czyni spadaiąca,

Zda się Mirson, że wszystko co tylko ma tchnienie,
Idzie szukać wesela w te swobodne cienie.
Co za łoskot ożywią to mieysce urocze,
Tu owad mile brzęczy, a ptastwo szczebiocze.
Patrz iak ten szczygieł pełny naysłodszych omamień,
Prowadzi nas skakaiąc z kamienia na kamień.
Patrz, patrz iak słońce rzuca promień złotolity,
W spruchniałość wierzby bluszczem zielonym okrytey,
Patrz w tey spruchniźnie koza odpoczywa mała,
Jakże sobie spokoyne schronienie obrała.

MIRSON.

Wszystko widzisz Licydo, a nie widzisz tego,
Że iuż teraz do cienia weszliśmy pięknego.

LICYDAS.

O Panie! O Bogowie! Co za śliczna grota?

MIRSON.

Strumień co cieknąc z skały, swobodnie łoskota,
Nakształt srebrney opony kryie do niey wniście,
Które zielonych krzaków, uwieńczaią liście.

Wnidźmy do niey Licydo.

LICYDAS,

Ah! ten chłodnik miły
Przeszywa mnie weselem, i wzmacnia me siły.
U mych stóp spada ztrumień, i cały się pieni,
Krople błyszczą iak iskry, do słońca promieni.

MIRSON.

Na kamieniach mchem świeżym, siądźmy porośnionych,
Nogi wesprzem na głazach z wody podniesionych.
A strumień, co ze skały spuszcza wodę czystą,
Rzuci na nas siedzących zasłone przeyrzystą.

LICYDAS.

Jeszcze taka iaskinia nie była mi znaną!

MIRSON.

Piękna iest: i dla tego *Panowi* oddana.
W południe kiedy słońce naymocniey przypala,
Każdy z tey miłey groty pasterz się oddala,
Bo mówią, że na ow czas Pan do niey przybywa,
I na tym mchu zielonym swobodnie spoczywa.

Ale znaszże początek tego źrzodła dziwny?
Zacnóęć go, ieżeli nie będziesz przeciwny.

LICYDAS.

Siedząc na mchu, a nogi wsparłszy na kamieniach,
Będę w słodkich twey pieśni słuchał uniesieniach.

MIRSON.

Jakże ty byłaś piękną Erythio młoda!
Wszystkie Nimfy Diany ćmiła twa uroda,
Ledwieś lata pierwszego dziecińśtwa miiała,
A iuż twa piękna kibic wszystkich zadziwiała,
Pierwszy kwiat niewinności krasił twoie lice,
Boiaźliwość słodziła twe żywe źrzenice.
Uśmiech układał wdzięcznie twe usta czerwone:
Twe łono wzrastaiące mile z okrąglone,
To wróżyło patrzącym, co zwyczaynie wróży
Mały pączek na krzaku naypięknieyszych róży.

W dzień lata nadzwyczaynie gorący i parny.
Goniła z towarzyszki po pustyni sarny,
Niezmiernie zmordowana, pragnąca, omdlała,
Do bliskiego dla chłodu źrzodła przybieżała,

Umyła śliczne lica, a w ręce stulone,
Wziętą wodę przed usta nosiła pieszczone.
Tak nad zdroiem schylona córka Erydana,
Sciągnęła wzrok w gaiku ukrytego Pana,
Jey mamiąca postawa, iey słodkie spoyrzenie,
Rozniecił w nim prędko miłości płomienie.
Chciał się przybliżyć cicho, ale trawka mała,
Swoim szelestem, iego zbliżenie wydała.
Uchodzi szybkim krokiem Nimfa przelękniona,
I oszukuie iego żylste ramiona;
Ramiona od pragnienia, i roskoszy drzące,
Już czuła na swym łonie ich ciepło gorące,
Mieyce bowiem, które go od ramion dzieliło,
Pewnieby się listeczkiem róży zapełniło.
Przeskokneła skwapliwie szerokość strumienia,
I szypcey gonionego leciała ielenia,
Równa lekkiemu wiatru co lecąc po łące,
Ledwie dotknie swym skrzydłem, dźbła trawki sterczące.
Tym czasem nagły przestrach wstrzymuie iey kroki,
Widzi się przepaścistey nad brzegiem opoki,
Cofa się w tył, bladnieie, woła srodze drżąca,
Diano serca czyste, szczególniey broniąca,

Niedozwalay by kiedy ręka zlubierzniała,
Łono twey czci oddane bezwstydnie ściskała.
Spiesz o czysta Bogini! śpiesz na moy ratunek,
Tym czasem przez tak smutny wstrzymaną trafunek,
Dogonił biedną Nimfę pan rżny w pośpiechu,
Już mocny ogień iego uczuła oddechu.
Już, iuż rękami iego miała bydź schwytana,
Gdy głos swey Nimfy czysta przyięła Diana.

Pan mniemaiąc że Nimfę w swe uściski bierze,
Wodę zimną w swych ręku płynącą postrzeże;
Wodę chłodzącą tę pierś, którą miłość grzała,
Erythia w zdroy czysty zmienioną została.
Jak kiedy śnieg od słońca, na wiosnę topnieie,
Po oczerniałych skałach ze wszech stroń się leie,
Tak i tu bieży woda po ramionach Pana,
Daley oblewa iego szczerniałe kolana,
Potym z miłem szmeraniem po trawniku płynie,
Spada z skały i fale toczy po nizinie.

KONIEC SIELANEK.

REJESTR

Materyi znayduiącey się w tych Sielankach.

Karta.

108

Karta.